

**Arkadij Strugacki  
Borys Strugacki**

# **Drugi najazd Marsjan**

**Второе нашествие Марсиан  
Tłumaczyła Irena Piotrowska**

Ach, ten przeklęty konformistyczny świat.

## 1 CZERWCA (GODZINA TRZECIA NAD RANEM)

Boże, teraz jeszcze ta Artemida! Więc jednak zwąchała się z Nikostratesem. I to się nazywa córka... No, cóż robić.

Okolo pierwszej w nocy obudził mnie potężny, aczkolwiek daleki grzmot, a potem przeraziło złowieszcze migotanie czerwonych plam na ścianach sypialni. Grzmot był przeciągły i dudniący jak podczas trzęsień ziemi, cały dom się za kołysał, dzwoniły szyby i podskakiwały buteleczki na nocnym stoliku. Skoczyłem wylękniony do okna. Całe niebo po stronie północnej płonęło, zdawało się, że tam, za dalekim horyzontem, rozwarła się ziemia i wyrzuca sięgające gwiazd fontanny kolorowego ognia. A ci dwoje, ślepi i głusi na wszystko, oblewani piekielnym blaskiem, kołysani podziemnymi wstrząsami, ściskali się i całowali do utraty tchu na ławce pod moim oknem. Od razu poznałem Artemidę i byłem pewny, że to Charon wrócił, a ona uradowana jego widokiem całuje go jak za czasów narzeczeńskich, zamiast prowadzić prosto do łóżnicy. Ale już w sekundę później spostrzegłem w świetle łuny słynną zagraniczną kurtkę pana Nikostratesa i serce we mnie zamarło. Taki szok może odebrać człowiekowi połowę zdrowia, i przecież trudno powiedzieć, żeby to był dla mnie grom z jasnego nieba. Słyszało się różne aluzyjki, żarciki. A mimo to byłem kompletnie zdruzgotany.

Trzymając się za serce i nie mając pojęcia, co dalej czynić, powlokłem się boszo do salonu i zadzwoniłem na policję. Spróbujcie jednak dodzwonić się tam w razie nagłej potrzeby. Numer był długo zajęty i na domiar złego okazało się, że dyżurnym jest Pandareos. Pytam go, co to za fenomen na horyzoncie. Nie rozumie słowa fenomen. Pytam więc po raz drugi: „Może mi pan wyjaśnić, co tam dzieje po północnej stronie nieba?” Znów się informuje, gdzie to jest, nie wiem już, jak mu to wytłumaczyć, wreszcie do niego dociera. „A–a, chodzi o pożar?” — po czym oznajmia, że istotnie widać jakąś łunę, ale skąd się wzięła i co się pali, jeszcze nie ustalono. Dom się trzęsie w posadach, wszystko skrzypi, na ulicy wrzeszczą coś o wojnie, a ten stary osioł zaczyna mi truć, że przyprowadzono mu do komisariatu Minotaura, który spił się jak bela, sprofanował narożnik willi pana Laomedonta, ledwie stoi na nogach i nawet do bitki nie jest zdolny. „Podejmie pan jakieś kroki, czy nie?” — przerywam. „Właśnie o tym mówię, panie Apolinie — obraża się ten osioł. — Muszę sporządzić protokół, a pan mi wisi na telefonie. Jeżeli tak bardzo niepokoi pana ten pożar...” — „A może to wojna?” — pytam. — „Nie, to nie wojna. Wiedziałbym o tym”. — „A może erupcja?” Nie rozumie słowa erupcja, a ja dłużej już nie wytrzymuję i odkładam słuchawkę. Spociłem się jak ruda mysz przy tej rozmowie, wróciłem więc do sypialni, włożyłem szlafrok i pantofle.

Łoskot jakby nieco przycichł, lecz błyski powtarzały się nadal, a ci dwoje już się nie całowali, nawet nie siedzieli przytuleni. Stali trzymając się za ręce, przy czym każdy mógł ich zobaczyć, gdyż od łuny na horyzoncie zrobiło się widno jak w dzień, z tą różnicą, że światło było pomarańczowoczerwone i na jego tle kłębiły się chmury brunatnego dymu z refleksami koloru słabej kawy. Sąsiedzi biegali po ulicy w strojach niedbałych, pani Eurydyka chwytala mężczyzn za pizamy i żądała, by ją ratowali, tylko jeden Myrtilos nie stracił głowy, wytaszczył z garażu ciężarówkę i zaczął wraz z żoną i synami wynosić z domu swój dobytek. Była to najprawdziwsza panika, jak za dawnych dobrych czasów, wieki czegoś takiego nie oglądałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli istotnie zaczęła się wojna atomowa, to w całym okręgu nie znajdziesz lepszego miejsca niż nasze miasteczko, aby się ukryć i przeczekać. A jeśli erupcja, to gdzieś bardzo daleko, więc naszemu miasteczku też nic nie zagraża. Bardzo wątpliwe zresztą, jakaż u nas może

nastąpić erupcja!

Udałem się na górę, by obudzić Hermionę. Tu wszystko, miało przebieg normalny. „Daj mi spokój, moczymordo, nie trzeba było pić na noc, nie mam ochoty” — i tak dalej. W tej sytuacji zacząłem jej głośno i sugestywnie opowiadać o wojnie atomowej i erupcji, troszkę, jasna, koloryzując, inaczej bowiem byłby to daremny trud. Wreszcie ją wzięło, zerwała się z łóżka, odepchnęła mnie i pobiegła wprost do jadalni mrużąc pod nosem: „Czekaj, zaraz zobaczę, a wtedy marny twój los...” Otworzyła kredens i sprawdziła zawartość butelki z koniakiem. Byłem spokojny. „Skądże ty wróciłeś? — spytała obwąchując z niedowierzaniem. — Z jakiej wstrętnej nocnej speluny?” Gdy jednak spojrzała w okno, gdy zobaczyła na ulicy na wpół ubranych sąsiadów, Myrtilosa stojącego w samych kalesonach na dachu swego domu i obserwującego coś przez lornetę polową, przestała się .interesować. Wprawdzie niebo po stronie północnej pograżyło się w ciszy i ciemności, niemniej wyczuwało się tam chmurę dymu, całkowicie przesłaniającą gwiazdy. Co tu dużo gadać, moja Hermiona to mimo wszystko nie jakaś tam Eurydyka. I wiek nie ten, i wychowanie inne. Nie zdążyłem przełknąć kieliszka koniaku, gdy już ciągnęła walizki i na cały głos przywoływała Artemidę. „A wołaj sobie, wołaj — pomyślałem z goryczą — akurat cię usłyszysz”. Lecz oto Artemida pojawia się w drzwiach swego pokoju. Boże, blada jak śmierć, dygoce cała, ale ma już na sobie piżamę, we włosach dyndają papiloty. „Co się stało? — pyta. — Co wy wyprawiacie?”

Mówcie co chcecie, ale ona też ma charakter. Gdyby nie ten fenomen, za nic nie dowiedziałbym się o niczym, no a Charon tym bardziej. Oczy nasze się spotkały, uśmiechnęła się do mnie łagodnie, drżącymi wargami, i oto nie odważyłem się wypowiedzieć słów, które miałem na końcu języka. Dla odzyskania równowagi poszedłem Siebie i zacząłem pakować znaczki. Drżysz — przemawiałem do niej w duchu — dygoczesz! Czujesz się sama i bezbronna, pełna lęku. A on nie podtrzymał cię na duchu, nie osłonił. Zerwał kwiat rozkoszy i umknął do swoich spraw. Nie, nie, moja droga, jeśli ktoś jest nieuczciwy, to jest nim w każdej sytuacji.

Tymczasem, jak należało oczekiwać, fala paniki szybko opadała. Nastąpiła noc, taka jak zwykle, ziemia już się nie kołysała, domy nie skrzypiały. Panią Eurydykę kłóś zabrał do siebie. Nikt nie krzychał o wojnie, w ogóle raczej nie było o czym krzyżeć. Wyjrząwszy oknem zobaczyłem, że ulica opustoszała, tylko gdzieś tam w domach paliło się jeszcze światło, no i Myrtilos na swoim dachu jaśniał bielizną wśród gwiazd. Zawołałem go i spytałem, czy coś widać. „Dobra, dobra — odparł z irytacją. — Niech się pan kładzie i chrapie. Pan będzie sobie słodko chrapał, a oni tymczasem dadzą łupnia...” Spytałem, co za „oni”. „Dobra, dobra — ciągnął. — Znaleźli się mądrale. Do spółki z Pandareosem. Kawał durnia ten pański Pandareos i nic więcej”. Na wzmiankę o Pandareosie postanowiłem zadzwonić na policję. Długo to trwało, a gdy się wreszcie dodzwoniłem, Pandareos poinformował mnie, że nic specjalnie nowego nie słyhać i wszystko inne też w porządku, pijany Minotaur dostał zastrzyk uspokajający, zrobili mu płukanie żołądka i teraz siedzi jak trusia. Co się tyczy pożaru, to ogień dawno wygasł, zwłaszcza że nie był to, jak się wyjaśniło, żaden ogień, tylko wielki świąteczny fajerwerk. Usiłowałem przypomnieć sobie, jakie to dziś święto, a Pandareos tymczasem odłożył słuchawkę. To jednak głupiec, w dodatku okropnie wychowany, zresztą zawsze był taki. Aż dziw bierze, że tacy ludzie pracują w policji. Nasz policjant powinien być inteligentny, powinien być wzorem dla młodzieży, bohaterem, którego pragnie się naśladować, aby można mu było bez obawy powierzyć nie tylko broń i władzę, lecz i działalność wychowawczą. Charon zaś tę moją wizję policji nazywa „towarzystwem okularników” i twierdzi, że żaden rząd by jej nie chciał, albowiem zaczęłaby chwytać i reedukować najbardziej użytecznych dla państwa ludzi, poczynając od premiera i prezydenta policji. No nie wiem, nie wiem, możliwe. Ale żeby komendant policji nie wiedział, co znaczy słowo fenomen, oraz zachowywał się ordynarnie podczas pełnienia obowiązków — to już przekracza wszelkie pojęcie.

Potyknąwszy się o walizki przedostałem się do kredensu i nalałem sobie kieliszek koniaku akurat w momencie, gdy do jadalni weszła Hermiona. Oświadczyła, że to istny dom wariatów, że na nikim nie można polegać, mężczyźni nie są tu mężczyznami, a kobiety kobietami. Ja jestem zdeklarowanym alkoholikiem, Charon turystą, a Artemida — laleczką absolutnie nie przystosowaną do życia. I tak dalej, i tak dalej. Może by ktoś jej wyjaśnił, po co zerwano ją z łóżka w środku nocy i kazano pakować walizki? Usiłowałem dać jakąś sensowną odpowiedź, po czym ukryłem się w mojej sypialni. Wszystko mnie bolało, byłem pewny, że jutro znów się zaostrzy egzema. Już czuję świąd, ale na razie powstrzymuję się od drapania.

Około godziny trzeciej nad ranem ziemia znów się zatrzęsła. Słychać było huk mnóstwa motorów oraz szczeł żelaza. Okazało się, że obok naszego domu przejeżdża kolumna ciężarówek i transporterów opancerzonych z wojskiem. Jechali powoli, z przygaszonymi światłami. Myrtilos uczepił się jakiegoś wozu pancernego i biegł obok truchtem, coś krzycząc. Nie wiem, co mu odpowiedzieli, ale gdy kolumna przeszła i został na ulicy sam, zawołałem go, pytając o nowiny. „Dobra, dobra — odburknął. — Znamy się na takich manewrach. Rozjeżdżają, mądrale, za moje pieniądze”. Wtedy mnie nagle olśniło. Odbywają się wielkie ćwiczenia wojskowe, być może nawet z udziałem broni atomowej. Warto było tyle się trudzić!

Boże, byle teraz spokojnie zasnąć!

## 2 CZERWCA

Swędzi mnie od stóp do głów. I co ważniejsze, nie mogę się zdecydować na rozmowę z Artemidą. Nie cierpię takich wybitnie osobistych tematów, takiej intymności. A poza tym skąd mogę wiedzieć, że ona mi odpowie?

Czort wie, jak się obchodzić z tymi córkami! Gdybym choć miał jakieś pojęcie, czego jej brakuje! Ma męża, i to nie jakiegoś zdechlaka z zapadniętą piersią, lecz chłopca do rzeczy, w pełni sił. Ani brzydki, ani łamaga i przy tym nie lata za babami. A mógłby — córka naczelnika urzędu skarbowego rzuca mu powłóczyście spojrzenia i Tiona robi do niego słodkie oczy, to przecież tajemnica poliszynela, że nie wspomnę już o pensjonarkach, letniczkach czy o madame Persefonie, która ze wszystkich kotek ma najwięcej kociego seksu i żaden kocur potrafi się jej oprzeć. A właściwie to z góry wiem, co mi Artemida odpowie. Nudzę się, tatku, przecież u nas śmiertelne nudy. I za co ją besztać! Młoda, ładna kobieta, dzieci nie ma, temperament godny pozazdroszczenia, powinna bawić się i szaleć, tańce, flirty i tym podobne rzeczy. Tymczasem Charon, niestety, jest z tych filozofujących. Myśliciel. Totalitaryzm, faszyzm, menedżeryzm, komunizm. Tańce to dla niego seksualny narkotyk, goście — wszyscy w czambuł bałwany, jeden gorszy od drugiego. O tym, by zagrał w winta, nawet mu nie wspomnij. A przy tym za kołnierza nie wylewa! Posadzi dokoła stołu pięciu swoich mędrców, postawi pięć butelek koniaku i dalej dyskutować do białego rana. Dziewczątka ziewa, ziewa, wreszcie trzaska drzwiami i idzie spać. I to ma być życie? Rozumiem, mężczyzna musi mieć swoje przyjemności, ale kobiecie też się jakieś należą! Owszem, lubię mojego zięcia, jest moim zięciem, więc go lubię. Ale jak długo można dyskutować? I co się od tych dyskusji zmieni? Przecież to jasne, choćby nie wiem ile rozprawiać o faszyzmie, ani go to grzeje, ani ziębi, nie zdążysz, człowiecze, nawet piknąć, a już ci wbiją na głowę żelazny hełm i — naprzód marsz, niech żyje wódz! Natomiast gdy przestajesz darzyć uwagę młodą żonę, ona tobie odplaci tym samym. I tu już nie pomoże żadna filozofia. Wiem, że człowiek inteligentny musi od czasu do czasu podyskutować na tematy abstrakcyjne, ale panowie, trzeba przecież zachować proporcje!

Dzisiejszy ranek był czarowny. (Temperatura plus dziewiętnaście, zachmurzenie umiarkowane, wiatr południowy zero koma pięć metra na sekundę. Warto by pójść do stacji meteorologicznej sprawdzić anemometr, znów go upuściłem). Po śniadaniu, doszedłszy do wniosku, że na jednym miejscu nawet kamień mchem obrasta, wybrałem się do merostwa, dowiedzieć się czegoś w sprawie mojej emerytury. Szedłem rozkoszując się spokojem, wtem patrzę — na rogu ulicy Wolności i, Wrzosowej jakieś zbiegowisko. Okazało się, że Minotaur wjechał swoją cysterną w wystawę jubilerską i tłum przechodniów przyglądał się, jak — brudny, opuchnięty, od rana już w dym pijany — składa zeznanie inspektorowi drogowemu. Scena ta była w tak rażącej dysharmonii z cudownym porankiem, że cały mój dobry nastrój rozwiął się natychmiast Nie ulega kwestii, że policja nie powinna była wypuszczać tak wcześnie Minotaura, wiedzieli przecież, że znowu się schła, skoro ma napad opilstwa. Z drugiej znów strony, jak go nie wypuścić, jeśli to jedyny przewetnik w mieście? Jedno z dwojga — albo zajmować się resocjalizacją Minotaura i tonąć w nieczystościach, albo iść na kompromis w imię higieny.

Z powodu Minotaura bytem nieco spóźniony i gdy dotarłem do naszego „splachetka”, zastałem już wszystkich w komplecie. Zapłaciłem karę, po czym jednonogi Polifem wręczył mi znakomite cygaro w aluminiowej pochewce. Przysłał mu to cygaro z przeznaczeniem dla mnie Polikarp, jego zwierzchnik, oficer floty handlowej. Wspomniany Polikarp pobierał u mnie naukę przez kilka lat, aż wreszcie uciekł, by zostać chłopcem okrętowym. Po jego ucieczce z miasta Polifem omal nie podał mnie do sądu twierdząc, iż to nauczyciel sprowadził chłopca na złą drogę swymi wykładami o wielorakości światów. On sam dotychczas nie zachwiał się w przekonaniu, że niebo jest twarde i satelity mkną po nim na podobieństwo motocyklistów w cyrku. Moje argumenty o korzyściach płynących z nauki astronomii były dla niego niedostępne i takimi pozostały do dziś.

Zebrani mówili właśnie o tym, że naczelnik urzędu skarbowego znów zdefraudował pieniądze przeznaczone na budowę stadionu. I to już po raz siódmy. Zaczęliśmy zastanawiać się nad środkami prewencyjnymi. Sylen twierdził wznosząc ramionami, że oprócz sądu nic innego nie wymyślimy. „Dość tych półśrodków — powtarzał. — Sąd publiczny. Niech całe miasto zbierze się w wykopie stadionu i postawi defraudanta pod pręgierz bezpośrednio na miejscu przestępstwa. Dzięki Bogu — ciągnął — nasze prawo jest dostatecznie elastyczne, aby środek prewencyjny był absolutnie współmierny z wagą przestępstwa”. — „Ja bym nawet dodał, że nasze prawo jest zbyt elastyczne — zauważył zgryźliwy Parales. — Ten skarbnik był już dwukrotnie sądzony i za każdym razem nasze elastyczne prawo wyginało się obchodząc go boczkim. Ale ty pewnie za jedyną przyczynę uważasz to, że proces odbył się w ratuszu, a nie w wykopie”. Morfeusz po głębokim namyśle oświadczył, że od dzisiejszego dnia przestaje skarbnika golić i strzyc. Niech chodzi zarośnięty. „Jesteście skończone cztery litery — oświadczył Polifem. — Żadnemu nie przyjdzie do łba, że on ma was wszystkich gdzieś. Wystarczy mu własna kompania”. — „Otóż to” — podchwycił zgryźliwy Parales i przypomniał nam, że o—prócz skarbnika istnieje jeszcze i działa architekt miejski, który na miarę swych talentów projektował stadion i teraz — rzecz jasna — jest zainteresowany, by go, uchowaj Boże, nie zaczęto budować. Tu jękała Kalaides zaczął seplenić, podrygiwać, i ściągając w ten sposób powszechną uwagę oznajmił, że to właśnie on omal nie pobił się z architektem podczas zeszłorocznego Święta Kwiatów. Te słowa skierowały rozmowę na całkiem nowe tory. Jednonogi Polifem, jako weteran i człowiek nie obawiający się krwi, zaproponował, by zaczął się na tych dwóch w bramie madame Persefony i przytrzcć im rogów. W takich decydujących momentach Polifem absolutnie przestaje panować nad swoim językiem — wyłażą z niego koszary. „Przytrzcć rogów tym śmierdzielom — grzmiał. — Dać gówniarzom kopa i porachować im gnaty!” Aż dziw bierze, jak podobny styl działa podniecająco na naszych. Wszyscy jak jeden mąż zaczęli się gorączkować, wymachiwać rękami, a Kalaides syczał i trząsał się jeszcze bardziej niż zwykle, nie, będąc w stanie wykrztusić ani słowa z wielkiego

wzburzenia. W pewnej chwili zgryźliwy Parales, jedyny spośród nas, który zachowywał spokój, zauważył, że oprócz skarbnika i architekta jest jeszcze mieszkający w swej letniej rezydencji ich główny protektor — niejaki pan Laomedontos. Po tej uwadze wszyscy od razu nabrali wody w usta, zaczęli ponownie rozpalać zagasłe podczas rozmowy cygara i papierosy, jako że panu Laomedontowi nie tak łatwo przytrzeć rogów, a tym bardziej porachować gnaty. I kiedy w zapadłej ciszy jąkała Kalaides wykrztusił na koniec już całkiem mimowolnie jakieś tajemnicze „Z-zasunąć im syfona!” — zebrani spojrzeli na niego z niesmakiem.

Przypomniałem sobie, że już dawno powinienem być w merostwie, włożyłem nie dopalone cygaro do aluminiowej pochewki i udałem się na pierwsze piętro do biura pana mera. Uderzyło mnie niezwykle ożywienie panujące w kancelarii. Urzędnicy wydawali się mocno podekscytowani. Nawet pan sekretarz zamiast, jak to miał w zwyczaju, oglądać własne paznokcie, przybijał pieczęcie lakowe na dużych kopertach, czyniąc to zresztą jak z łaski i z miną nader pogardliwą. Czuję się okropnie, podchodząc do tego modnie ulizanego mydłka. Wielki Boże, oddałbym wszystkie skarby świata, byle tylko nie mieć do niego żadnego interesu, nie widzieć go i nie słyszeć. Dawniej też nie lubiłem Nikostratesa, podobnie jak innych naszych lalusiów, prawdą powiedziawszy, nie lubiłem go już wówczas, gdy się u mnie uczył — za lenistwo, za arogancją, za ordynarne wybryki, no, a po wczorajszym zbrzydł mi sam jego widok. Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Nie było jednak wyjścia, więc ostatecznie zdecydowałem się zapytać: „Jak się przedstawia moja sprawa?” Nawet nie podniósł oczu, nie raczył zaszczycić mnie spojrzeniem. „Przykro mi, panie Apollinie, ale odpowiedź z ministerstwa jeszcze nie nadeszła” — odparł nie przerywając pieczętowania kopert. Podreptałem chwilę w miejscu i zawróciłem do wyjścia z ohydnyim uczuciem, jakie zawsze towarzyszy mi w urzędach, gdy całkiem niespodziewanie zatrzymał mnie, oznajmiając zdumiewającą wiadomość, że od wczoraj nie ma łączności z Maratenami. „Co też pan mówi! — zawołałem. — Czyżby manewry jeszcze się nie skończyły?” — „Jakie manewry?” — zdziwił się. I tu mnie poniosło. Do dziś nie mam pewności, czy warto było to robić, ale spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem: „Jakie? Te właśnie, które raczył pan obserwować ubiegłej nocy”. — „Czyżby to były manewry? — wymówił z godną pozazdroszczenia zimną krwią, znów pochylając się nad kopertami. — Przecież to były fajerwerki. Proszę przeczytać poranne gazety”. Czemu, czemu nie rzekłem mu wtedy paru mocnych słów, tym bardziej że byliśmy w pokoju sami. Ale czy tak się godzi?

Gdy wróciłem na „sflachetek”, przedmiotem dyskusji było już nocne zjawisko. Zebranych przybyło — nadeszli Myrtilos i Pandareos. Ten ostatni w rozpiętej bluzie, zarośnięty i zmęczony po nocnym dyżurze. Myrtilos wyglądał, nie lepiej, gdyż przez całą noc dozorował koło domu w oczekiwaniu katastrofy. Wszyscy trzymali w rękach poranne gazety i omawiali notatkę „naszego obserwatora” tytułem: „W przededniu Święta”. „Nasz obserwator” informował, że Marateny przygotowują się do obchodów swego sto pięćdziesięciolecia i że, jak mu wiadomo, ze źródeł zazwyczaj dobrze poinformowanych, wczorajszej nocy odbyła się próba ogni sztucznych, które mogli podziwiać mieszkańcy okolicznych miast oraz osiedli w promieniu dwustu kilometrów. Dość, by Charon wyjechał służbowo na parę dni, a nasza gazeta już zaczyna w piątkę gonić. Nawet nie usiłowali z grubsza zastanowić się, jak mogą wyglądać fajerwerki z odległości dwustu kilometrów. Nawet nie pomyśleli, odkąd to fajerwerkom towarzyszą wstrząsy podziemne. Wszystko to na gorąco wyłuszczyłem naszym, ale oni też mają głowy na karku, kazali mi jeszcze przeczytać „Wiadomości Milesu”. Było tam czarno na białym, że tej nocy „mieszkańcy Milesu mieli okazję podziwiać wspaniałe widowisko — ćwiczenia wojskowe z zastosowaniem najnowocześniejszych środków techniki bojowej”. „A nie mówiłem?!” — wykrzyknąłem, ale przerwał mi Myrtilos. Zaczął opowiadać, że wczesnym rankiem podjechał do jego stacji benzynowej jakiś nieznajomy szofer z firmy „Daleki transport”, kupił sto pięćdziesiąt litrów

benzyny, dwie puszki oleju samochodowego oraz skrzynkę marmolady i szepnął mu na ucho, że podobno tej nocy wyleciały w powietrze z nieznaney przyczyny podziemne zakłady paliwa raketowego. Zginęło podobno dwudziestu trzech strażników oraz cała nocna zmiana, ponadto sto siedemdziesiąt dziewięć osób zaginęło bez wieści. Byliśmy porażeni tą nowiną, niemniej zgryźliwy Parales nie omieszkął agresywnie zapytać: „Może mi wobec tego wytłumaczysz, na co im była potrzebna marmolada?” To pytanie zbiło Myrtilosa z tropu. „Dobra, dobra — odburknął. — Powiedziałem, co wiedziałem i basta”. My też nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić. Rzeczywiście, co ma z tym wspólnego marmolada? Kalaides zaczął syczeć pryskając śliną, ale w końcu i on nie wykrztusił słowa. Wówczas wysunął się naprzód ten stary osioł Pandareos. „Posłuchajcie, kochani. To nie były żadne zakłady raketowe. Zwyczajna fabryka marmolady, i rozumiecie? No i przestańcie się już denerwować”. Zatkąło nas. „Podziemna fabryka marmolady? — Parales pierwszy odzyskał głos. — Nie da się zaprzeczyć, stary, jesteś dziś w znakomitej formie”. Zaczęliśmy klepać Pandareosa po plecach dogadując: „Tak, tak, Pan, od razu widać, że miałeś dzisiaj złą noc. Zamęczył cię ten Minotaur, marnie z tobą, przyjacielu! Najwyższy czas przejść na emeryturę”. „Policjant i sieje panikę” — powiedział z urazę Myrtilos, jedyny, który wziął słowa Pandareosa za dobrą monetę. „Od tego jest Pan, żeby siać panikę” — śmiał się Dimantes. Polifem też puścił świetny dowcip, tyle że absolutnie niecenzuralny. Gdyśmy się tak zabawiali, Pandareos stał oniemiały i tylko pęczniał w oczach kręcąc głową niczym byk, którego dobijają matadorzy. Wreszcie zapiął mundur na wszystkie guziki i patrząc ponad nasze głowy ryknął: „Dość gadania! R-rozejść się! W imieniu prawa!” Myrtilos udał się do swojej stacji benzynowej, a my wszyscy — do gospody.

W gospodzie przede wszystkim zamówiliśmy piwo. Oto przyjemność, której przed odejściem na emeryturę byłem pozbawiony. W takim małym miasteczku, jak nasze, nauczyciela znają wszyscy. Rodzice jego uczniów wyobraża ją sobie nie wiedzieć czemu, iż jest on cudotwórcą zdolnym uchronić swym osobistym przykładem ich dzieci od pójścia w ślady rodziców. Przesiadują w gospodzie dosłownie od rana do późnej nocy i jeśli nauczyciel pozwoli sobie na niewinny kufel piwa, to nazajutrz czeka go nieuchronnie upokarzająca rozmowa z dyrektorem. A ja lubię knajpkę! Lubie, posiedzieć w dobrym męskim towarzystwie, lubie gawędzić poważnie i spokojnie na najrozmaitsze tematy, łowiąc półuchem gwar głosów i brzęk szklanek za moimi plecami, słuchać i sam opowiadać pieprzne kawały, zagrać w karty — niezbyt wysoko, z umiarem — i w razie wygranej postawić wszystkim po kuflu. No, dość o tym.

Japet podał nam piwo i zaczęła się rozmowa o wojnie. Jednonogi Polifem twierdził, że gdyby to była wojna, ogłoszono by już mobilizację, na co zgryźliwy Parales mruknął, że w razie wojny to dopiero byśmy nic nie wiedzieli. Nie lubię tych wojennych rozmów, z przyjemnością pogadałbym o emeryturach, ale gdzie tam... Polifem położył szczudło na stole i spytał, co właściwie Parales może wiedzieć o wojnie. „Wiesz, na przykład, co to jest bazooka? — mówił groźnie. — Wiesz, co to znaczy siedzieć w okopie, czołgi na ciebie walą i nawet się nie spostrzeżesz, jak masz pełne portki?” Parales na to, że o czołgach i pełnych portkach nic nie wie i wiedzieć nie chce, natomiast o wojnie atomowej wszyscy wiedzą jedno: „Padnij plackiem i czołgaj się w kierunku najbliższego cmentarza”. — „Zawsze był z ciebie złamany cywil i takim już zostaniesz — skrzywił się Polifem. — Wojna atomowa to jest wojna nerwów, wiesz? Oni nas, a my ich, i kto pierwszy nawali w portki, ten przegrywa”. Parales tylko wzruszył ramionami, co doprowadziło Polifema do szewskiej pasji. „Bazooki! — wrzeszczał. — Tarzony! Łubudu — i pełne gacie! Prawda, Febie?” Nakrzyczawszy się do woli, zaczął z kolei snuć wspominki, jak to kiedyś wspólnie odpieraliśmy w śniegach atak czołgów. Nie cierpię tych wspomnień. Pełniutki portki! Nie wiem, możliwe, że nawet tak było, nie pamiętam. I zresztą nie lubię do tego wracać. Polifem jak trącił o milę koszarami, tak do dziś trąci. Nie mam pojęcia, co jeszcze poza nogą należy urwać człowiekowi,

żeby raz na zawsze przestał być zupakiem. Może tu właśnie pies pogrzebany, że on nie był w „kotle”, a ja byłem. Albo może jest to sprawa charakteru.

Zasiedzieliśmy się, postanowiłem więc za jednym zamachem zjeść obiad. U Japeta zwykle karmią świetnie, tym razem jednak firmowa zupa z kluseczkami mocno zalatywała źle oczyszczoną oliwą, o czym nie omieszkalem mu zakomunikować. Okazało się, że od trzech dni bolą go zęby i to tak wściekle, że niczego nie może przyzwoicie skosztować. „A pamiętasz, Febie, jak wybiłem ci ząb?” — spytał melancholijnie. No pewnie, jak mógłbym nie pamiętać! Było to w siódmej klasie, lataliśmy obaj za Ifigienią i dzień w dzień braliśmy się za łyby. Boże, jakież to odległe czasy, kiedy mogłem się jeszcze bić! Ifigienia jest obecnie żoną jakiegoś inżyniera, mieszka na południu, ma już wnuki oraz dusznicę bolesną.

Gdy szedłem do Achillesa, przed domem pana Laomedonta stał jego okropny czerwony samochód z pancernymi szybami, a za kierownicą palił papierosa ten podły bubek, który stale się ze mnie natrząsa. I teraz od razu się przyczepił, przeszedłem więc z godnością na drugą stronę ulicy nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Achilles siedział przy kasie i oglądał swój „Kosmos”. Od czasu gdy zdobył ten niebieski trójkąt ze srebrnym nadrukiem, z reguły wyjmuje album tuż przed moim przyjściem, niby to przypadkowo. Przejrzałem go na wylot i dlatego nie daję nic poznać po sobie, choć prawdę zawsze mi wtedy serce krwawi. Jedyna pociecha, ten trójkąt jest z podlepką. Powiedziałem mu to. „Owszem, Achillesie, trudno zaprzeczyć, to piękny egzemplarz. Szkoda tylko, że z podlepką”. Skrzywił się okropnie i burknął: „Kwaśne, zielone, dobre dla żarłoków”. — „Cóż robić — odparłem spokojnie. — Fakt jest faktem } nie da się go zmienić. Ja osobiście nie kupiłbym tego znaczka za taką cenę. Na co mi z podlepką? Są, oczywiście, tacy hurtownicy, którzy kupują i kasowane, i z podlepkami, ale moim zdaniem to niepoważne. Ja kupuję najwyżej na wymianę. Zawsze przecież znajdzie się niewybredny prostak, któremu wszystko jedno — z podlepką czy bez”. Oduczę tego Achillesa świecić mi w oczy srebrnym nadrukiem!

Ale na ogół przyjemnie spędziliśmy czas. On przekonywał mnie, że wczorajsze zjawisko była to osobliwa, zorza polarna, która zbiegła się przypadkowo z osobliwym trzęsieniem ziemi, ja zaś klarowałem mu o manewrach i wysadzeniu fabryki marmolady. Jakakolwiek dyskusja z Achillesem jest nie do pomyślenia. Widać, że sam nie wierzy w to, co mówi, ale gada, upiera się przy swoim. Siedzi niby bożek mongolski, patrzy w okno i powtarza w kółko, że nie jestem jedyną osobą w mieście znającą się na zjawiskach przyrody. Ktoś mógłby pomyśleć, że oni na tej swojej farmacji rzeczywiście zajmowali się prawdziwą nauką. Taak, z żadnym z naszych nie sposób jakiegokolwiek dyskusji doprowadzić do rozsądnego końca. Weźmy na przykład Polifema. On nigdy nie dyskutuje rzeczowo. Nie obchodzi go meritum sprawy, zależy mu tylko na tym, by z oponenta zrobić balona. Dyskutujemy, powiedzmy, o kształcie naszej planety. Za pomocą ścisłych, znanych każdemu inteligentnemu człowiekowi argumentów udowadniam mu, że Ziemia jest z grubsza mówiąc kulą. Zaciekle i bezskutecznie atakuje wszystkie moje argumenty po kolei, a gdy mowa o kształcie cienia ziemskiego podczas zaćmień Księżyca, wyskakuje nagle z czymś w rodzaju: „Cień, cień... Ty rzucasz cień na jasny dzień. Najpierw usuń sobie tę brodawkę, którą masz pod nosem, i wyhoduj włosy na łysinie, a dopiero potem się wymądrzaj”. Albo Parales. Zaczęliśmy kiedyś rozmawiać o sposobach leczenia alkoholizmu. Nawet się nie obejrzałem, jak zesłaliśmy na politykę zagraniczną ówczesnego prezydenta, a następnie na problem panspermii. Co najdziwniejsze, ani panspermia, ani polityka zagraniczna nigdy mnie nie interesowały i nie interesują do dziś, natomiast ofiara, alkoholizmu — i prawdziwą kieską dla otoczenia był cioteczny siostrzeniec Hermiony. Obecnie jest felczerem wojskowym, ale wówczas życie moje było nieustającym koszmarem. Tak, alkoholizm to plaga ludzkości.

Dziś dyskusja skończyła się na tym, że Achilles wydobyl drogocenną buteleczkę, i wypiliśmy



po kieliszku dzinu. Interes Achillesa idzie dość marnie, mam wrażenie, że nie zarobiłby nawet na dzin, gdyby nie madame Persefona. Teraz też przybiegła od niej pokojówka. „Mogę zaproponować antygest” — powiedział Achilles dyskretnym szeptem. „Nie, nie, bardzo prosili o coś pewniejszego”. Pewniejszego, słyszane rzeczy) Wpadł jeszcze kucharczyk od Japeta po krople na ból zębów i więcej już nikt, mogliśmy nagadać się do syta. Wymieniłem różowy „Monument” na serię „Czerwony Krzyż”. Właściwie nie jest mi ona potrzebna, ale Charon wspominał przedwczoraj, że ktoś przystał do jego redakcji następujące ogłoszenie: „Kupię »Czerwony Krzyż«, proponuję do wyboru odwrócony nadruk ze standardu”. Dziwna rzecz, ale muszę przyznać, że Charon jest jedynym spośród moich domowników, który nie wyśmiewa się ze mnie. W ogóle, jak się głębiej zastanowić, to z niego całkiem niezły chłop i postępowanie Artemidy jest nie tylko amoralne, lecz i nieszlachetne. A ten Nikostrates to gagatek!

Wracałem do domu o dziesiątej wieczorem i znów zastałem ich siedzących w moim ogrodzie. Nie całowali się wprawdzie, no ale chyba obowiązuje jakieś poczucie przyzwoitości. Wszedłem do ogrodu, wziąłem Artemidę za rękę i powiadam temu gogusiowi: „Do widzenia, panie Nikostratesie, dobrej nocy życzę”. Artemida wyrwała mi swoją rękę i odeszła bez słowa, a ten rozpustnik, starając się w głupi sposób zatrzeć niezręczność, zaczyna mi truć o opiniach municypalnych, które należy dołączyć do podania o rentę. Stoję i słucham. Powinno się go kijem przepędzić z ogrodu, a ja słucham. Ta moja przekłeta delikatność. I niezdecydowanie. To już prawdziwy kompleks niższości. Nagle Nikostrates szczerząc do mnie zęby pyta: „A jak się miewa czarująca pani Hermiona? Oj, spryciarz z pana, Febie! Ja bym też nie miał nic przeciwko takiej gospodyni”. Serce we mnie zamarło i już do reszty zaniemówiłem. On tymczasem nie doczekawszy się odpowiedzi — bo i po co? — oddalił się chichocząc na całą ulicę, ja zaś zostałem sam w ciemnym ogrodzie.

No cóż, trudna rada. Nasze stosunki z Hermioną trzeba będzie w końcu uregulować. Wiem, że mi to zupełnie niepotrzebne, lecz dla spokoju ducha ponosi się ofiary.

### 3 CZERWCA

Czasem ogarnia mnie formalne przerażenie na myśl, że z moich starań o rentę może nic nie wyjść. Zaczyna mnie wtedy ścisnąć w dołku i nie mogę zabrać się do żadnej roboty.

Na zdrowy rozum biorąc, sprawa powinna zakończyć się pomyślnie. Primo, przepracowałem w zawodzie nauczycielskim trzydzieści lat, nie licząc przerwy wojennej. Secundo, ani razu nie zmieniałem miejsca pracy, nigdy nie zwalniałem się z powodu przeprowadzki lub innych prywatnych spraw i tylko kiedyś, siedem lat temu, wziąłem krótki bezpłatny urlop. Pobyt na froncie nie może być uważany za przerwę w pracy, to chyba jasne. Przez moje klasy przewinęło się z grubsza licząc ponad cztery tysiące uczniów, niemal cała obecna ludność naszego miasta. Tertio, przez ostatnie lata byłem stale eksponowany, trzykrotnie zastępowałem dyrektora gimnazjum w czasie jego urlopu. Quarto, pracowałem bez zarzutu, mam szesnaście podziękowań ministerstwa, pismo gratulacyjne od nie żyjącego już ministra na dzień mego pięćdziesięciolecia, jak również brązowy medal „Za zasługi na polu oświaty narodowej”. Jedną szufladę w moim biurku specjalnie przeznaczyłem na listy z podziękowaniami rodziców. No i wreszcie moja specjalność. Wszyscy teraz dostali bzika na punkcie kosmosu, tym samym astronomia stała się przedmiotem bardzo aktualnym. Moim zdaniem, to także jest argument. Zważywszy więc to wszystko, czy mogą istnieć jakieś wątpliwości? Na miejscu ministra przyznałbym bez namysłu pierwszą grupę. Boże, wtedy miałbym nareszcie święty spokój. W gruncie rzeczy nie tak wiele mi już w życiu potrzeba. Kilka

papierosów, kieliszek koniaku, trochę drobnych na karty — i koniec. No i jeszcze znaczki, oczywiście. Pierwsza kategoria wynosi sto pięćdziesiąt miesięcznie. Sto dam Hermionie na utrzymanie, dwadzieścia — na książeczkę, a reszta już dla mnie. Starczy i na znaczki, i na wszystko inne. Chyba zasłużyłem?

Źle, że stary człowiek jest nikomu niepotrzebny. Wycisną go jak cytrynę, a potem niech zdycha. Podziękowania, listy pochwalne? Kogo to dziś obchodzi? Medale? Któż ich nie posiada? Poza tym ktoś na pewno się przyczepi, że byłem w niewoli. Był pan w niewoli? Byłem. Trzy lata? Tak. Koniec. A więc ciągłość pracy została przerwana, otrzyma pan trzecią grupę i proszę nie psuć papieru na korespondencję z nami.

Gdyby tak mieć znajomości! Prawda, przecież jeden z moich uczniów, obecny generał Alkim, zasiada w Niższej Izbie. Jakbym tak do niego napisał? Powinien mnie pamiętać, było między nami sporo różnych drobnych konfliktów, jakie później w wieku dojrzałym z przyjemnością wspominają byli wychowankowie. Daję słowo, napiszę. Zacznę po prostu: „Drogi chłopcze, oto jestem już stary...” Trochę jeszcze poczekam i napiszę.

Dziś przez cały dzień siedziałem w domu. Hermiona była wczoraj z wizytą u ciotki i przyniosła mi stamtąd duży pakiet starych znaczków. Segregowanie ich sprawiło mi niesłychaną przyjemność. Tego się z niczym nie da porównać. To jest jak gdyby nie kończący się miesiąc miodowy. Znalazłem kilka świetnych egzemplarzy, wszystkie wprawdzie z podlepkami, trzeba będzie odświeżyć. Myrtilos rozbił na swoim podwórzu namiot i zamieszkał w nim z całą rodziną. Chwalił się, że w dziesięć minut może zebrać manatki i wyjechać. Mówił też, że w dalszym ciągu nie ma łączności z Maratenami. Z pewnością kłamie. Pijany Minotaur najechał swoją brudną cysterną na czerwony samochód pana Laomedonta i pobił się z szoferem. Obu zabrano do komisariatu. Minotaur będzie, siedział pod kluczem, póki nie wytrzeźwieje, a szofera podobno odwieziono do szpitala. Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie. Artemida cichutka jak myszka — Charon powinien wrócić lada godzina. Nic jeszcze nie mówiłem Hermionie. Może się jakoś obejdzie. Ach, żeby mi dali pierwszą grupę!

#### 4 CZERWCA

Przed chwilą skończyłem czytać wieczorne gazety i danie nie rozumiem. Nie ulega wątpliwości, że nastąpi—jakiś zmiany. Ale jakie? I skutkiem jakich wydarzeń? nas się lubi trochę poblagować.

Rano wypilem kawę, po czym udałem się na „spłachetek”. Pogoda była piękna, ciepła. (Temperatura plus osiemnaście, bezchmurnie, wiatry południowe 1 metr na sekundę według mojego anemometru). Tuż za furką zobaczyłem Myrtilosa kręcącego się przy rozłożonym na ziemi namiocie. Spytałem, co to ma znaczyć. „Dobra, dobra —odpowiedział wielce rozdrażniony. — Znaleźli się mądrale. Siedźcie i czekajcie, aż wszystkich was wyrzną”. Za grosz nie wierzę Myrtilosowi, ale od takich rozmów ciarki mnie przechodzą. „Co się znów stało?” — spytałem. „Marsjańcy” — rzucił krótko i zaczął ugniatać namiot kolanem. Nie zrozumiałem go w pierwszej chwili i może dlatego to dziwne słowo podziałało na mnie jak zapowiedź czegoś strasznego, co nieuchronnie musiało nastąpić. Nogi ugięły się pode mną, przysiadłem na zderzaku ciężarówki. Myrtilos milczał dysząc tylko i sapiąc. „Coś ty powiedział?” — spytałem. Zwinął namiot, wrzucił na ciężarówkę i zapalił papierosa. „Marsjańcy na nas napadli — wymówił szeptem. — Teraz już koniec z nami. Marateny spalili, podobno kamień na kamieniu nie został, dziesięć milionów zabitych w ciągu jednej nocy, rozumiesz? A dziś przybyli do naszego merostwa. Przejęli władzę i

basta. Siac już zabronili, a teraz mają nam wszystkim żołądki wycinać. Żołądki im do czegoś potrzebne, wyobrażasz sobie? Ani mi się śni czekać dłużej, mnie też jest potrzebny żołądek. Jak tylko o tym usłyszałem, myślę sobie — nie dla mnie te nowe porządki, niech to diabli, jadę do brata farmę. Moją starą z dziećmi wysłałem już autobusem. Posiedzimy tam i zobaczymy, co dalej. „Czekaj — przerwałem wiedząc dobrze, że wszystkie te wiadomości wyssal z palca, i mimo to słabnąc coraz bardziej. — Czekaj, Myrtilosie, co ty gadasz? Kto napadł? Kto spalił? Mój zięć jest teraz w Maratenach”. — „Już po twoim zięciu — rzekł z ubolewaniem i rzucił niedopałek. — Możesz uważać swoją córkę za wdowę. Sekretarzowi w to graj... No, czas na mnie. Żegnaj, Apollinie. Zawsze żyliśmy w zgodzie. Ja nie chowam złości do ciebie i ty mnie źle nie wspominaj”. — „Boże! — krzyknąłem zrozpaczony, ostatkiem sił. — Mówże, kto napadł?” — „Marsjańcy, Marsjańcy! — odpowiedział znów zniżając głos do szeptu. — Stamtąd! — Podniósł do góry palec. — Z komety spadli”. — „Może Marsjanie?” — spytałem z nadzieją w sercu. — „Dobra, dobra — mruknął wsiadając do szoferki. — Ty jesteś nauczycielem, to wiesz lepiej. A mnie wszystko jedno, kto ze mnie flaki wypuści...” — „Zlituj się, Myrtilosie — powiedziałem mając już całkowitą pewność, że to wszystko bujda. — Przecież tak nie można. Masz już swoje lata, rodzinę, wnuki. Jakim cudem mogliby to być Marsjanie, skoro Mars jest planetą wymarłą. Nie ma tam życia, to fakt naukowo dowiedziony”. — „Dobra, dobra — odburknął, ale widać było, że się waha. — Już lecę wierzyć!” — „Ależ zapewniam cię, że to prawda. Spytaj którego chcesz uczonego. Zresztą po co uczonego, wie o tym dobrze każdy uczeń!” Myrtilos chrząknął i wylał z szoferki. „A niech to diabli — rzekł zanurzając we włosy wszystkie pięć palców. — Kogo tu słuchać? Ciebie? Czy Pandareosa? Bądź tu mądry...” Splunął i wszedł do domu.

Ja również postanowiłem wrócić do siebie i zadzwonić na policję. Okazało się, że Pandareos jest bardzo zajęty, gdyż Minotaur wyłamał kratę w celi, trzeba więc niezwłocznie zorganizować obławę. Półtorej godziny temu rzeczywiście ktoś przyjechał do merostwa, jakaś władza, możliwe nawet, że Marsjanie, krążą wieści, że to oni, a co do wycinania żołądków, to żadnych dyrektyw nie było i w ogóle Pandareosa nie obchodzi Marsjanie, wystarczy mu jeden Minotaur, który jest gorszy od wszystkich Marsjan razem wziętych.

Pospieszyłem na „spłachetek”.

Prawie wszyscy nasi tłoczyli się u wejścia do merostwa i —zawzięcie dyskutowali o jakichś dziwnych śladach odcisniętych w kurzu. Zostawił je przybyły niedawno Marsjanin, co do tego nie istniały żadne wątpliwości. Morfeusz powtarzał, że nawet on, stary fryzjer i masażysta, w życiu swoim nie widział takich potworów. „Pająki, wielkie, kosmate pająki. To znaczy, samce są kosmate, a samice gołe. Chodzą na tylnych łapach, przednie mają chwytne. Widziałeś te ślady? Niesamowitej Jakby dziurki. To on tędy przeszedł”. — „Nie w tym rzecz — tłumaczył rozsądnie Sylen. — Na Ziemi siła ciężkości jest znacznie większa, spytajcie Apolla, a więc oni nie mogą chodzić zwyczajnie na nogach. Do tego celu służą im specjalne sprężynowe szczudła i to właśnie one zostawiają te dziurkowane ślady”. — „Racja — wymamrotał niewyraźnie Japet z obwiązaną twarzą. — Tylko że to nie są szczudła. Oni mają taki pojazd, widziałem to kiedyś w kinie. Nie na kołach, lecz na takich dźwigniach czy szczudłach”. — „Nasz skarbnik znowu wykręcił się sianem — rzekł zgryźliwy Parales. — Zeszłym razem był grad o nie spotykanej sile, jeszcze wcześniej szarańcza, a teraz wykombinował Marsjan, bo żyjemy w epoce podboju przestrzeni kosmicznej”. „Nie mogę spokojnie patrzeć na te ślady — powtarzał Morfeusz. — Niesamowite! Chodźmy się czegoś napić, dobra?” Kalaides, który już od dłuższego czasu syczał miotając się w drgawkach, wykrztusił na koniec: „Piękna dziś pogoda, kochani! Jjak się wam spało?” Przez tę nieszczęsną wadę wymowy nigdy nie nadaża za rozwojem wypadków. A przecież jest bądź co bądź weterynarzem, mógłby powiedzieć coś ciekawego o tych śladach. „Myrtilos już dał drapaką — oznajmił Dimantes chichocząc głupio. — Żegnaj, Dimantesie, powiedział do mnie, zawsze

żyliśmy w zgodzie. Miej oko na moją stację benzynową, w razie czego podpal ją, żeby się nie dostała w ręce nieprzyjaciela”. Tu zadałem ostrożne pytanie, czy nie słyszał czegoś o Maratenach. „Mówią, że spalone — podjął skwapliwie. — Był stamtąd telefon, żeby zachować spokój”. To mnie do reszty upewniło, iż są to niedorzeczne pogłoski, i już miałem je zdementować, gdy nagle rozległo się wycie syreny policyjnej., przyciągając naszą uwagę.

Przez plac biegł zajęczym zygzakiem, zataczając się, rozchełstany, zapuchnięty Minotaur, a zanim pędził policyjny łazik. Pandareos trzymając się przedniej szyby krzyczał coś i wymachiwał kajdankami. „No, już go mają” — powiedział Morfeusz. „To nie takie pewne — odparł Dimantes. — Widzisz, co on robi?” Minotaur podbiegłszy do słupa telegraficznego objął go rękami i nogami i zaczął gramolić się w górę. Ale już Pandareos wyskoczył z wozu i złapał go za spodnie. Z pomocą drugiego policjanta ściągnął nieszczęsnego prewetnika ze słupa, po czym nałożyli mu kajdanki i wrzucili do łazika. Policjant odjechał, a Pandareos ocierając twarz chustką i rozpinając po drodze mundur, skierował się w naszą stronę. „No i widzisz, że go schwycił? — rzekł do Dimantesa Morfeusz. — Ty zawsze musisz się kłócić”. Pandareos zapytał, co u nas słychać nowego. Zakomunikowaliśmy mu o śladach pozostawionych przez Marsjan. Natychmiast przysiadł na piętach i zajął się bez reszty badaniem okoliczności. Poczułem nawet dla niego mimowolny szacunek, tyle było w jego ruchach zawodowej rutyny — przyglądał się śladom z pewnego dystansu i niczego nie dotykał rękami. Zdawało się, że lada chwila zagadka będzie rozwiązana. Posuwał się wzdłuż śladów kręcąc jak kaczka opiętym kuprem i powtarzając raz po raz: „Aha... Wszystko jasne... Aha... Rozumiem...” Czekaliśmy niecierpliwie zachowując całkowite milczenie, jedynie Kalaides syczał usiłując coś powiedzieć. Wreszcie Pandareos wyprostował się z głuchym stęknieniem, zlustrował wzrokiem plac, jakby spodziewał się kogoś na nim wykryć, i rzucił krótko: „Dwóch. Pieniądze wywieźli w worku. Jeden ma laskę zakończoną szpikulcem, drugi pali »Astrę«, — „Ja też palę »Astrę«, — odezwał się zgryźliwy Parales i Pandareos natychmiast wlepił w niego oczy. „Jakich dwóch? — spytał Dimantes. — Marsjan?” — „Z początku myślałem, że to nie nasi — mówił powoli Pandareos nie spuszczać oczu z Paralesa. — Myślałem, że to ktoś z Milesu, ja dobrze ich znam”. Tu wreszcie Kalaides wyrzucił z siebie grubo spóźnione: „Nnie, ssamochodem nie ddogoni!” — „A co z Marsjanami? — rzekł Dimantes. — Nie rozumiem...” Pandareos dalej ignorując te natrętne pytania przyglądał się Paralesowi. „Pokaż no mi twego papierosa, kochasiu” — zażądał. — „A po co?” — „Ciekawi mnie zgryz, jak również to, gdzie przebywałeś dziś rano między szóstą a siódmą”. Spojrzeliśmy na Paralesa, który poświadczył, że jego zdaniem Pandareos jest największym głupcem, jakiego kiedykolwiek nosiła święta ziemia, nie licząc, oczywiście, tego kretyna, który go przyjął do pracy policji. No cóż, byliśmy zmuszeni przyznać mu rację, zaczęliśmy klepać Pandareosa po plecach, przygadując: „, „Tak, tak, Pan, tym razem spudłowałeś. Nie przyszło ci do głowy, że to ślady Marsjanina. Chociaż skąd niby mogłeś wiedzieć coś o Marsjanach! Przecież to nie prewetnicy!” Pandareos zaczynał się już z lekka nadymać, wtem z merostwa wyszedł jednonogi Polifem i z miejsca zgasił naszą wesołość. „Kiepska sprawa, moi drodzy! — rzekł zafrasowany. — Marsjanie atakują, Miles wzięty! Nasi się cofają, palą zasiewy, wysadzają mosty!” Nogi znów ugięły się pode mną, nie miałem nawet siły, by dowlec się do ławki i usiąść. „Na południu zrzucili desant, dwie dywizje — chrypiał Polifem. — Tylko patrzeć, jak tu będą!” „Oni już tu byli — powiedział Sylen. — Na takich specjalnych szczudłach. Widzisz te ślady?...” Polifem ledwie na nie spojrzawszy wybuchnął z oburzeniem, że to przecież jego własne ślady, a my doznaliśmy olśnienia — ależ oczywiście, że jego, a właściwie szczudła, którym się podpierał. Dla mnie była to niesłychana ulga. A Pandareos, jak tylko zorientował się w sytuacji, zapiął mundur na wszystkie guziki i wrzasnął: „Dość gadania! R-rozejść się! W imieniu prawa!”

Poszedłem do merostwa. Ledwie można było się tam precyzyjnie obok mnóstwa jakichś płaskich

worków, stojących pod ścianami na korytarzach, na podestach schodów i nawet w poczekalni. Rozchodził się od nich dość silny, nieznanymi zapachami i okna były szeroko otwarte. Poza tym żadnych zmian nie zauważyłem. Pan Nikostrates siedział przy swoim biurku i polerował paznokcie. Z niewyraźnym uśmiechem i bardzo dziwną nutą w głosie dał mi do zrozumienia, że ze względów służbowych nie ma prawa rozwodzić się na temat Marsjan, może mnie natomiast zapewnić, że wszystko to raczej nie ma nic wspólnego — ze sprawą emerytury. Niewątpliwie jest tylko jedno — uprawa pszenicy będzie odtąd najzupełniej nieopłacalna, natomiast opłaci się siał pewną roślinę jadalną o uniwersalnych — jak się wyraził — własnościach. W tych oto workach znajdują się nasiona, które już od dziś zaczną się przydzielać okolicznym farmerom. „A skąd te worki?” — zapytałem. „Zostały dostarczone” — odpowiedział ważnym tonem. Przemógłszy nieśmiałość, spytałem znów, kto je dostarczył. „Czynnik oficjalny” — usłyszałem, po czym Nikostrates podniósł się zza biurka i przeprosiwszy mnie, podążył swoim niepewnym krokiem do gabinetu mera. Wstąpiłem do kancelarii, pogawędziłem chwilę z maszynistkami i z woźnym. Dziwna rzecz, potwierdzili prawie wszystkie wieści o Marsjanach, a jednak nie zrobili na mnie wrażenia dobrze poinformowanych. Ach, te plotki! Nikt w nie nie wierzy, ale wszyscy je kolportują. I w ten właśnie sposób dochodzi do wypaczania najprostszyc faktów. Weźmy, na przykład, Polifema i jego wersję wysadzonych mostów. Jak było w rzeczywistości? Polifem zjawił się na naszym „spłachetku” pierwszy. Ujrzawszy go z okna kancelarii, poprosili, by przyszedł naprawić maszynę do pisania. Gdy podczas naprawiania zabawiał panny opowieściami, jak i kiedy urwało mu nogę, wszedł pan mer, postąpił chwilę z zamyśloną miną przysłuchując się rozmowie i wyrzekłszy zagadkowe zdanie: „Tak, moi państwo, mosty chyba spalone”, wrócił do swego gabinetu, gdzie natychmiast kazał sobie przynieść kanapki z sardynkami oraz butelkę piwa z Faros. Polifem zaś wyjaśnił dziewczętom, że mosty zwykle niszczy się za sobą podczas odwrotu, by przeszkodzić ruchom nieprzyjaciela. Reszty łatwo się domyślić. Cóż za głupota. Uważałem za swój obowiązek wytłumaczyć pracownikom merostwa, że zagadkowe słowa pana mera oznaczają jedynie, iż coś zostało nieodwołalnie zdecydowane. Na twarzach moich słuchaczy odmalowała się ulga zmieszana zresztą z pewnym rozczarowaniem.

Na „spłachetku” nie było nikogo. Pandareos wszystkich rozpędził. Niemal zupełnie uspokojony, udałem się do Achillesa, aby powiedzieć mu o moich nowych nabytkach i wybać grunt w sprawie serii z architekturą. Może weźmie kasowaną, skoro czystą i tak nie można dostać. On przecież kupuje z podlepkami. Zastałem go jednak dość przygnębionego szerczącymi się pogłoskami. Na moją propozycję odparł z roztargnieniem, że się zastanowi i równocześnie, sam tego nie zauważywszy, podsunął mi wspaniałą myśl. „Marsjanie — mówił — ustanowią nową władzę. A ty wiesz, Febie, że nowa władza to nowe znaczki?”. Zdumiałem się, że coś tak prostego nie przyszło mi głowy. Rzeczywiście, jeśli te pogłoski choć w części prawdziwe, to pierwszą rozsądną czynnością owych mitycznych Marsjan powinna być emisja nowych znaczków, a przynajmniej nadruki na dawnych naszych. Pożegnałem się czym prędzej i pobiegłem prościutko na pocztę. Oczywiście, żadna korespondencja z nowymi znaczkami nie nadchodziła i w ogóle nie było żadnych nowin. Kiedy my wreszcie oduczymy się wierzyć plotkom? Doskonale wiadomo, że atmosfera Marsa jest niezwykle rozrzedzona, klimat bardzo surowy, poza tym prawie nie ma tam wody, która jest podstawowym warunkiem wszelkiego życia. Legendy o kanałach zostały już dawno i definitywnie obalone, albowiem okazały się jedynie złudzeniem optycznym. Krótko mówiąc, wszystko to przypomina mi popłoch, jaki wybuchnął dwa lata temu, gdy jednonogi Polifem biegał po całym mieście ze strzelbą myśliwską krzycząc, że z ogrodu zoologicznego w stolicy uciekł olbrzymi tryton ludojad. Myrtilos wywiózł wtedy całą rodzinę i przez dwa tygodnie nie wracał do miasta.

W nie oświeconych mózgach moich prymitywnych współobywateli rodzą się przy najlżejszych

wstrząsach iście fantastyczne przywidzenia. Nasz światek przypomina pogrążony w nocnym śnie kurnik, w którym wystarczy niechcący dotknąć piórka jakiejś drzemiącej na drążku pstrokatki, i już wybucha nieopisany harmider, ptactwo macha skrzydłami, gdacze i rozrzuca pomiot na wszystkie strony. A moim zdaniem życie i bez tego jest dostatecznie niespokojne. Powinniśmy szanować własne nerwy. Czytałem kiedyś, że tego rodzaju pogłoski są znacznie szkodliwsze dla zdrowia niż nawet palenie tytoniu. Autor udowodniał przytaczając dane liczbowe. Była również mowa o tym, siła działania panicznej wieści jest wprost proporcjonalna do ignorancji mas, i to jest racja, aczkolwiek przyznać muszę, że niekiedy nawet bardzo światli ludzie zadziwiająco łatwo ulegają zbiorowej psychozie i gotowi są pędzić na złamanie karku wraz z oszalałym tłumem.

Wszystko to zamierzałem powiedzieć naszym spostrzegłszy w drodze do gospody, że na „spłachetku” znów zebrał się tłum. Skręciłem tam, lecz okazało się, że plotka dokonała swego niszczyielskiego dzieła. Nikt nawet słuchać nie chciał moich wywodów. Ludzie byli wzburzeni ponad wszelką miarę, weterani potrząsali bronią, której nie zdążyli należycie oczyścić ze smaru. Dowiedziałem się, że z koszar osiemdziesiątego ósmego pułku piechoty zostali rozpuszczeni żołnierze i naopowiadali rzecz nie mieszczących się w głowie.

Przedwczorajszej nocy ogłoszono w koszarach alarm i przez kilka godzin, a mianowicie do rana, żołnierze w pełnej gotowości bojowej siedzieli w transporterach oraz ciężarówkach na placu.” Rano alarm został odwołany i dzień wczorajszy minął normalnym trybem. Dziś w nocy wszystko się powtórzyło z tą jednak różnicą, że skoro świt przyleciał do koszar helikopterem pułkownik ze sztabu generalnego, rozkazał ustawić pułk w czworobok i nie wysiadając z helikoptera wygłosił długie, absolutnie niezrozumiałe przemówienie. Po jego odlocie prawie cały pułk rozpuszczono na przepustki. Trzeba dodać, iż żołnierze, którzy zdążyli już tego zaprawić się u Japeta, również bełkotali niezrozumiale rycząc raz po raz popularną nieprzyzwoitą piosenkę o królu Jobatesie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że pułkownik sztabu generalnego nie wspomniał w swoim przemówieniu ani słowem o Marsjanach. Mówił właściwie tylko o dwóch rzeczach — o obowiązku patriotycznym żołnierza i o jego sokach żołądkowych, przy czym w trudny do uchwycenia sposób łączył oba te pojęcia. Żołnierze nie połapali się w tych subtelnosciach, natomiast wyraźnie dotarło do nich, że od dziś każdy, kogo sierżant przy łapie z gumą do życia „narko” lub z papierosem „opi”, z miejsca dostanie dziesięć dni paki i będzie w niej zgnojony. Dowódca pułku, nie zwalniając ustawionych w czworobok żołnierzy, rozkazał młodszym oficerom i sierżantom przeprowadzić w koszarach dokładną rewizję oraz konfiskatę wszystkich papierosów i gumy do żucia, zawierających substancje tonizujące. Nic więcej żołnierze nie wiedzieli i nawet nie chcieli wiedzieć. Objąwszy się ramionami wrzasnęli refren z miną tak groźną, że wypuściliśmy ich rozstępując się pospiesznie.

Polifem wpakował się na ławę razem ze swoim szczudłem i flintą i zaciął wykrzykiwać, że generałowie nas zdradzili, że zewsząd otaczają nas szpiegdy i że prawdziwi patrioci winni skupić się wokół sztandaru, albowiem patriotyzm i tak dalej. Ten Polifem żyć nie może bez patriotyzmu. Bez nogi może, ale bez patriotyzmu ani rusz. Gdy wreszcie umilkł zachrypnięty, by zapalić papierosa, spróbowałem jednak uświadomić naszym, że życia na Marsie nie ma i być nie może, wszystko to jest błaga. Ale znów nie dano mi dojść do słowa. Najpierw Polifem podsunął mi pod nos poranną prasę stołeczną z dużym artykułem: „Czy istnieje życie na Marsie?”, który z ironicznym powątpiewaniem podważał istniejące dotychczas dane naukowe. A kiedy nie dając się zbić z pantałyku Usiłowałem dalej forsować moje racje, Polifem złapał mnie za kołnierz i zachrypiał groźnie: „Czujność chcesz uspić, draniu? Ty szpiegu, marsjański, gówno wyłysiałe! Pod ścianę takich!” Trudno znieść coś takiego. Dostałem bicia serca i zawołałem policję. Nieprawdopodobne chuligaństwo! Nigdy w życiu nie daruję Polifemowi. Co on sobie wyobraża! Wyrwałem się, nawymyślałem mu od kulawych świń i poszedłem do knajpy.

Przekonałem się nie bez satysfakcji, że patriotyczne wrzaski Polifema nie tylko we mnie budzą obrzydzenie. W gospodzie było już kilka osób z naszego grona. Obsiedli Kronidesa archiwariusza, stawiali mu kolejki piwa i wypytywali o dzisiejszą wizytę Marsjan. „Nic nadzwyczajnego — mówił Kronides ledwie patrząc na oczy. — Marsjanie jak Marsjanie. Jeden nazywa się Kalchandes, drugi Eleus, obaj południowcy z takimi nosami...” „No a pojazd?” — „Pojazd jak pojazd, czarny, lata... Nie, nie helikopter. Lata i koniec. A czy ja jestem lotnik? Skąd mogę wiedzieć, jak lata?...” Zjadłem obiad, poczekałem, aż dadzą mi spokój, po czym przysiadłem się do niego zamówiwszy dwa dżiny. „Na temat renty jest coś nowego?” — spytałem. Ale do Kronidesa nic już nie docierało. Oczy mu łzawiły, wlewał tylko w siebie jak automat kieliszek za kieliszkiem i mamrotał: „Marsjanie jak Marsjanie, jeden Kalchandes, drugi Eleus, powiadam... Czarne i latają... Nie, nie sterówce... Eleus, powiadam... Nie ja, lotnik...” Wreszcie zasnął.

Gdy do knajpy wpakował się Polifem ze swoją bandą, demonstracyjnie udałem się do domu. Myrtilos jednak nie wyjechał. Znów rozbił namiot, siedzi i pitrasi kolację na maszynie gazowej. Artemidy nie było, wyszła nie powiedziawszy dokąd, a Hermiona czyściła dywany. Dla uspokojenia nerwów zająłem się renowacją znaczków. Przyjemnie pomyśleć, do jakiej w tym względzie doszedłem perfekcji. Nie wiem, czy ktoś potrafiłby odróżnić moją warstwę kleju od oryginalnej. W każdym razie Achilles nie potrafi.

A teraz o dzisiejszych gazetach. Zdziwiający — prawie wszystkie szpalty wypełnione rozważaniami różnych specjalistów o sposobach racjonalnego odżywiania. Z jakimś nienaturalnym oburzeniem mówi się o preparatach medycznych, zawierających opium, morfinę i kofeinę. A jeśli mnie zaboli wątroba, to co, muszę cierpieć? W żadnej gazecie nie ma kącika filatelistycznego, o futbolu ani słowa, za to wszystkie przedrukowują gigantyczny, kompletnie pozbawiony treści artykuł o znaczeniu soków żołądkowych. Jakby bez nich nikt o tym nie wiedział. Ani jednej depechy zagranicznej, ani wzmianki o skutkach embargo, tylko jakaś głupia dyskusja na temat pszenicy, że jakoby ma ona niewiele witamin, jest mało odporna na szkodniki, a niejaki Marsjusz, magister nauk rolniczych, posunął się w swych wywodach aż do stwierdzenia, że tysiącletnia historia upraw pszenicy oraz innych roślin pożytecznych (owsa, kukurydzy) była jedną wielką pomyłką ludzkości, na szczęście nie jest jeszcze za późno, by tę pomyłkę naprawić. Nie znam się na pszenicy, fachowcy wiedzą lepiej, jednakże artykuł jest utrzymany w niedopuszczalnie krytykanckim, powiedziałbym nawet — wywrotowym tonie. Od razu wiadomo, że ten Marsjusz to typowy południowiec, nihilista i krzykacz.

No proszę, już dwunasta, a Artemidy ciągle nie widać. Do domu nie wróciła, w ogrodzie też jej nie ma, a tymczasem na ulicach pełno pijanych żołnierzy. Mogłaby przynajmniej zadzwonić, gdzie się znajduje. Drzę, że lada chwila może wejść Hermiona i spytać o nią. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. I w kogo się ta moja córka wdała? Jej nieboszczka matka była kobietą bardzo skromną, raz tylko zadurzyła się w architekcie miejskim i zresztą jedynym owocem tej miłości było kilka bilecików i jeden list. Ja również nigdy nie byłem pies na baby, jak by się wyraził Polifem. Do dziś ze zgrozą wspominam moją wizytę u madame Persefony. Nie, to nie są rozrywki dla człowieka cywilizowanego. Bądź co bądź miłość, choćby czysto zmysłowa, jest sprawą intymną i uprawianie jej w towarzystwie nawet bardzo dobrych i życzliwych znajomych wcale nie jest tak frapujące, jak się czyta w niektórych powieściach. Nie mam tu, uchovej Boże, na myśli, że moja Artemida oddaje się w tej chwili bachicznym płąsom pośród butelek, ale mogłaby chociaż zadzwonić. Należy tylko podziwiać głupotę mojego zięcia. Ja na jego miejscu dawno bym wrócił.

Zamykałem właśnie mój dziennik, aby pójść spać, gdy nagle coś mnie tknęło. Przecież Charon na pewno nie bez powodu siedzi tyle czasu w Maratenach. Strach pomyśleć, ale chyba odgadłem, gdzie jest pies pogrzebany. Czyżby się odważyli? Przypomniałem sobie te wszystkie spotkania pod moim dachem, tych jego dziwacznych przyjaciół o wulgarnych nawykach i okropnych

manierach. Jacyś mechanicy łąpiący whisky bez wody selcerskiej i pałacy śmierdzące, tanie cygara. Jacyć wystrzyżeni krzykacze z chorobliwą cerą, paradujący w dżinsach i pstrych koszulach, nigdy nie wycierający nóg w przedpokoju. I te ich rozmowy o rządzie światowym, o jakiejś technokracji, o najróżniejszych „izmach”, organiczne negowanie wszystkiego, co gwarantuje człowiekowi spokój i bezpieczeństwo. Przypominam to sobie i teraz dopiero rozumiem, co się stało. Tak, mój zięć i jego kompanioni byli ekstremistami i oto wystąpili jawnie. Opowiadania o Marsjanach to nic innego, jak zniekształcone echa prawdziwych wydarzeń. Spiskowcy zawsze uwielbiali szumne, tajemniczo brzmiące słowa i niewykluczone, że obecnie nazywają siebie „Marsjanami” lub innym „towarzystwem zagospodarowania planety Mars” lub — powiedzmy — „odrodzeniem marsjańskim”. Nawet fakt, że magister nauk rolniczych nosi imię Marsjusz, ma według mnie swoją wymowę — całkiem możliwe, iż stoi on na czele przewrotu.

Zostaje tylko jeden nie wyjaśniony punkt, a mianowicie niechęć uczestników puczu do pszenicy oraz idiotyczne zainteresowanie sokami żołądkowymi. Z pewnością jest to manewr mający na celu odwrócenie uwagi, społeczeństwa.

Słabo orientuję się w historii puczów i rewolucji, trudno mi, oczywiście, znaleźć wytłumaczenie wszystkich zjawisk, jakie obecnie zachodzą, ale jedno wiem. Gdy nas pędzili jak stado baranów, kazali marznąć w okopach, gdy czarne koszule macały nasze żony w naszych własnych łóżkach, gdzie byliście wówczas, panowie ekstremiści? Też obwieszaliście się odznaczeniami i ryczełiście na całe gardło „Niech żyje wódzi” Jeżeli tak podobają się wam przewroty, czemu robicie je zawsze nie w porę? Komu się dziś przydadzą wasze przewroty? Mnie? Albo Myrtilosowi? Albo może Achillesowi? Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? Wszyscy macie mentalność podoficerów, moi panowie, nic nie odbiegacie poziomem od głupka-patrioty Polifema.

Egzema zamęczy mnie, paskudztwo. Czochram się jak mała na jarmarku, nie pomagają żadne krople, żadne maści. Wszyscy aptekarze to oszuści. Niepotrzebne mi lekarstwa. Spokój mi potrzebny, otóż to!

Jeżeli Charonowi starczy rozumu, by nie zostawać w dalszych szeregach, to pierwszą grupę mam zapewnioną.

## 5 CZERWCA

Źle spałem tej nocy. Najpierw obudziła mnie Artemida, która zjawiła się dopiero o pierwszej. Byłem zdecydowany pogadać z nią szczerze, ale nic z tego nie wyszło, pocałowała mnie i zamknęła się w swojej sypialni. Musiałem na uspokojenie zażyć środek nasenny. Potem zdrzemnąłem się i miotem idiotyczne sny. A o czwartej rano znów mnie obudzono, tym razem był to Charon. Wszyscy śpią, a on drze się na cały dom, jakby się znajdował na pustyni. Narzuciłem szlafrok i powlokłem się do jadalni. Boże, ‘ strach było na niego patrzeć. Od razu się domyśliłem, że zamach się nie udał.

Siedział przy stole i łapczywie pochłaniał wszystko, co mu przynosi zaspana Artemida. Tuż przy nim leżały na obrusie umazane smarem części jakiejś broni palnej. Był zarośnięty, oczy miał czerwone, zaognione, włosy potargane i zlepione w sterczące kosmyki, jedząc mlaskał głośno niczym prewetnik. Nie miał na sobie marynarki i wszystko przemawiało za tym, że tak właśnie zjawił się w domu. Nic w nim nie zostało z naczelnego redaktora niedużej, ale poważnej gazety. Koszulę miał podartą i upačkaną błotem, ręce brudne z połamanymi paznokciami, a na i piersi widać było straszne, opuchnięte zadrapania. Nie przywitał się ze mną, spojrzął tylko obłąkanym wzrokiem i wybełkotał dławiąc się jedzeniem: „No i doczekali się, łajdaki!” Puściłem mimo uszu



to dzikie powitanie, gdyż wiedziałem, że jest kompletnie wytrącony z równowagi, ale serce mi się ścisnęło i kolana tak osłabły, że musiałem usiąść na kanapie. Artemida też była bardzo wystraszona, choć starała się ukryć to za wszelką cenę. Charon w ogóle nie zwracał na nią uwagi, tylko co trochę wrzeszczał na całe gardło: „Chleba!” „Brandy, do diabła i!” Albo: „Gdzie musztarda, Arto? Sto razy o nią prosiłem!” Żadnej normalnej rozmowy nie można z nim było nawiązać. Na próżno starając się opanować bicie serca, zapytałem, jak dojechał. W odpowiedzi ryknął bełkotliwie, że owszem, dojechał w mordę, ale, widać, nie temu, komu należało. Spróbowałem zmienić temat, skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory i spytałem o pogodę w Maratenach. Łypnął na mnie spode łba, jakbym go śmiertelnie obraził, i znów zaryczał nad talerzem: „Skończone barany...” Absolutnie nie można było się z nim dogadać. Klął bez przerwy najgorszymi wyrazami — i w czasie kolacji, i później, gdy odsunąwszy łokciem talerze, zaczął poranionymi rękami składać swoją broń. Całe szczęście, że Hermiona ma taki mocny sen i nie była obecna przy tej scenie, ona nie znosi chamstwa. Wszyscy dla niego byli łajdakami, doprawdy, zupełnie nie mogłem pojąć, co takiego się stało. Z jego bełkotu wynikało, że „ci wszyscy łajdacy doszli w swoim łajdactwie do tego, że teraz najgorszy łajdak może robić z tymi łajdakami, co mu się podoba i żaden łajdak nawet palcem nie kiwnie, by przeszkodzić tym łajdakom zajmować się byle gównem”. Artemida, biedactwo, stała za nim załamując ręce i łzy jej płynęły po twarzy. Od czasu do czasu spoglądała na mnie błagalnie, ale cóż ja mogłem poradzić? Sam potrzebowałem pomocy, ze zdenerwowania jakaś mgła przesłaniała mi wzrok. Charon ani na chwilę nie przestając lclqc złożył wreszcie swoją broń (był to nowoczesny automat), wsunął magazynek i podniósł się ciężko z krzesła, zrzuciwszy przy tym na podłogę dwa talerze. Artemida, moje biedne dziewczątko, podeszła do niego bez kropli krwi w twarzy i to chyba nieco go rozbroiło. „No, no, dziecinko — powiedział przestając kląć i objął ją niezgrabnie — mógłbym cię zabrać ze sobą, tylko wątpię, czy to ci sprawi przyjemność. Znam cię przecież na wylot.”

Nawet ja odczułem dręczącą konieczność, by Artemida znalazła w tej chwili właściwe słowa, i oto, jakby odebrawszy moją telepatemę, spytała go zalewając się łzami o rzecz, moim zdaniem, najważniejszą: „Co teraz z nami będzie?” Pojąłem równocześnie, że z punktu widzenia Charona nie były to bynajmniej najwłaściwsze słowa. Wsunął automat pod pachę, klepnął Artemidę po tylnych krągłościach i odparł, nieprzyjemnie szczerząc zęby: „Nie martw się, dziecino, nie spotka cię nic nowego” — po czym skierował się do drzwi. Nie mogłem na to pozwolić, by odszedł tak zwyczajnie, nie udzieliwszy nam żadnych wyjaśnień! „Chwileczkę, Charonie — odezwałem się walcząc ze słabością. — Powiedz, co teraz będzie? Co z nami uczynią?” Moje pytanie przyprawiło go o nieopisaną furię. Zatrzymał się w półobrocie na progu, przy czym kolano drgało mu konwulsyjnie, i wycedził przez zęby: „Żeby choć jeden łajdak zapytał, co on powinien uczynić. Skądże, każdy łajdak pyta tylko, co z nim uczynią. Bądźcie spokojni, wasze będzie królestwo niebieskie na Ziemi!” Wyszedł trzasnąwszy z hukiem drzwiami, a w chwilę później zawarczał na ulicy jego samochód.

Następna godzina była istnym piekłem. Artemida dostała ataku hysterii, choć Bogiem a prawdą wyglądało to bardziej na atak dzikiej wściekłości. Wytlukła wszystką porcelanę, jaka została na stole, ściągnęła serwetę i cisnęła w telewizor, tłukła pięściami w drzwi i wyła zduszonym głosem: „Masz mnie za idiotkę? Za idiotkę, tak?... A ty?... A ty?... Gwiżdżę na ciebie, słyszysz?... Rób co chcesz i ja będę robiła, co mi się podoba!... Rozumiesz?... Rozumiesz?... Jeszcze przyjdiesz do mnie, na kolanach będziesz się czołgał!...” Z pewnością należało podać jej wody, klepać po twarzy i tak dalej, ale ja sam leżałem, pół żywy na kanapie i nie było nikogo, by przynieść mi tabletkę walidolu. Skończyło się na tym, że Artemida pobiegła do swego pokoju nie zaszczyciwszy mnie odrobiną uwagi, a ja po pewnym czasie dowlokłem się do łóżka i zapadłem w rodzaj półomdlenia.

Nadszedł ranek pochmurny i deszczowy. (Temperatura plus siedemnaście, zachmurzenie duże, bezwietrznie). Rozmowę między Artemidą a Hermioną, dotyczącą bałaganu w jadalni, przespałem, na szczęście. Wiem tylko, że nie obeszło się bez awantury i obie chodzą nadąsane. Z twarzy Hermiony, gdy podawała mi kawę, wyczytałem, że i do mnie ma pretensję, powstrzymywała się jednak od, wyrzutów. Widocznie bardzo źle wyglądam, a ona ma dobre serce, co ogromnie w niej cenię. Po kawie zebrałem siły, by udać się na „spłachetek”, lecz nagle zjawił się posłaniec przynosząc mi tak zwane urzędowe zawiadomienie, podpisane przez Polifema. Okazuje się, że zostałem członkiem „Miejskiej Ochotniczej Drużyny Anty—marsjańskiej” i poleca mi się „stawić się o godzinie dziesiątej rano na placu Zgody, zabierając ze sobą broń palną lub białą oraz zapas żywności na trzy dni”. Cóż to ma znaczyć, czy on mnie uważa za smarkacza? Oczywiście, dla zasady nigdzie się nie stawiłem. Myrtilos, który wciąż jeszcze mieszka w namiocie, powiedział mi, że od wczesnego ranka przybywają do merostwa farmerzy po odbiór worków z nowym gatunkiem zboża, którym będą obsiewali pola. Podobno rząd skupuje na dogodnych warunkach zbiory pszenicy przeznaczając ją na zniszczenie i równocześnie wręcza zadatek na dostawę plonów nowego zboża. Farmerzy wietrzą w tym wszystkim kolejną aferę rolną, ponieważ jednak nie żąda się od nich pieniędzy ani też zobowiązań pisemnych, nie bardzo wiedzą, co o tym sądzić. Myrtilos poza tym zapewniał (mnie!), że nie ma żadnych Marsjan, gdyż życie na Marsie jest niemożliwe, jest to po prostu nowa polityka agrarna. Mimo to przygotował się na wszelki wypadek do opuszczenia miasta, nie omieszkał też wziąć dla siebie worka nasion. W gazetach, podobnie jak wczoraj, tylko o pszenicy i sokach żołądkowych. Jeśli tak będzie dalej, zrezygnuję z prenumeraty. Radio też bez przerwy — pszenica i soki żołądkowe, już przestałem je włączać, oglądam tylko telewizję, gdzie wszystko po staremu, jak przed puczem. Nikostrates przyjechał samochodem, Artemida wybiegła do niego i pojechali dokądś razem. Nie chcę o tym myśleć. Może to w końcu przeznaczenie.

Ponieważ gadanie o pszenicy nie ustaje, należy wnioskować, że pucz udał się mimo wszystko. Charon jednakże przez swój nieużyty charakter nie otrzymał tego, na co liczył, pożałował się tam ze wszystkimi i znalazł się w opozycji. Obawiam się, że będziemy jeszcze mieli przez niego duże przykrości. Gdy tacy szaleńcy, jak Charon, łapią za automat, to na pewno strzelają. Mój Boże, czy nadejdą kiedyś czasy, że nie będę miał kłopotów?

## 6 CZERWCA

Temperatura plus szesnaście, zachmurzenie duże, wiatry południowo—zachodnie o szybkości sześć metrów na sekundę. Naprawiłem anemometr.

Egzema do reszty mnie zamęczyła, muszę bandażować ręce. W dodatku dokuczają mi odmrożone uszy, pewnie na zmianę pogody.

Marsjanie czy nie Marsjanie, wszystko mi jedno. Dość mam tych dyskusji.

## 7 CZERWCA

Oko dotychczas mnie boli, zapuchło i słabo na nie widzę. Całe szczęście, że lewe. Okłady Achillesa pomagają tylko częściowo. Według niego siniak pozostanie jeszcze co najmniej przez tydzień. Teraz jest czerwono—siny, potem zzielenieje, potem żółknie i dopiero zniknie. Jakie to jednak okrucieństwo, co za brak kultury! Bić starszego człowieka, który chciał tylko zadać

niewinne pytanie. Jeżeli Marsjanie w ten sposób zaczynają, to nie wiem, na czym skończą. Nie ma się komu poskarżyć, pozostaje tylko czekać, aż sytuacja się wyjaśni. Ból oka tak mi doskwiera, że lichy wzięło całą radość z dzisiejszego pogodnego ranka. (Temperatura plus dwadzieścia stopni, bezchmurne niebo, słabe wiatry południowe).

Gdy po śniadaniu wybrałem się na strych celem przeprowadzenia obserwacji meteorologicznych, spostrzegłem z pewnym zdziwieniem, że pola za miastem przybrały wyraźnie niebieski odcień i z daleka do tego stopnia zlewały się z błękitem nieba, że linia horyzontu całkowicie się zatarała, choć powietrze było bardzo przejrzyste, bez śladu jakiegokolwiek mgiełki. Te marsjańskie nasiona wzeszły w zdumiewającym tempie. Należy się spodziewać, że w najbliższych dniach ostatecznie zagłuszą pszenicę.

W jakiś czas później, znalazłszy się na placu, zauważyłem ze zdumieniem, że prawie wszyscy nasi, jak również ogromna liczba innych obywateli normalnie w tych godzinach przebywających w swoich miejscach pracy, farmerzy, uczniowie, którzy powinni spędzać czas na grach i zabawach, tłoczą się wokół trzech dużych furgonetek ozdobionych kolorowymi plakatami i reklamami. Na razie myślałem, że to cyrk wędrowny, tym bardziej że reklamy zachwalały znakomitych linoskoków oraz innych bohaterów areny, ale Morfeusz, który stał tu od dawna, wyjaśnił mi, że to nie ma nic wspólnego z cyrkiem, są to ruchome punkty sokodawstwa. Wewnątrz mieszczą się specjalne pompy z węzami, przy każdej pompie siedzi wielki drab w fartuchu lekarskim i każdemu, kto wchodzi, proponuje za odciążenie nadwyżek niezwykle wysoką cenę — piątkę” za szklankę. „Jakich nadwyżek?” — zapytałem. Okazało się, że soków żołądkowych. Cały świat dostał bzika na punkcie tych soków. „Czy to Marsjanie?” — „Jacy tam Marsjanie — odburknął Morfeusz. — Wielkie, kudłate chłopiska. Jeden ślepy na jedno oko”. „I co z tego? — odparłem. — Przedstawiciel każdej rasy, czy to na Ziemi, czy na Marsie, jeśli straci oko, staje się jednooki”. Nie wiedziałem wówczas, że wypowiadam prorocze słowa. Drażniła mnie po prostu pyszałkowatość Morfeusza. „W życiu moim nie słyszałem o jednookich Marsjanach” — oświadczył.

Dużo osób przysłuchiwało się naszej rozmowie, więc powodowany próżnością, chciał koniecznie podtrzymać swą wątpliwą reputację rezonera. A przecież nic w tej materii nie ma do powiedzenia! „Jacy tam Marsjanie — powtórzył — Zwyczajni kolesie z podstołecznych okolic. Na kopy tam takich w każdej knajpie...” — „Nasze wiadomości o Marsie są tak skąpe — odparłem spokojnie — że hipoteza o podobieństwie Marsjan do bywalców podstołecznych knajp bynajmniej nie przeczy prawdzie naukowej”. — „Święta racja — wmieszał się stojący obok nas nieznajomy farmer. — Bardzo przekonujące to, co pan powiedział, panie niewiemjaksiępan-nazywa. Ten jednooki ma na rękach aż po łokcie tatuaż, i to same gołe baby. Jak zakasał rękawy i podszedł do mnie z tym węzem gumowym, myślę sobie — o nie, na diabła mi to!” „A jak się wypowiada nauka na temat tatuażu u Marsjan?” — zapytał złośliwie Morfeusz. Chciał mi wsadzić szpilkę Tani chwył, na kilometr zajeżdża fryzjerem. Takimi sztuczkami nie zagniesz mnie, bratku. „Profesor Zefir — odparowałem patrząc mu prosto w oczy — naczelny astronom Obserwatorium w Maratenach, w żadnym ze swych licznych artykułów nie wyklucza istnienia takiego zwyczaju u Marsjan”. — „Święta racja — potwierdził farmer. — Ci w okularach to lepiej widzą”. I Morfeusz musiał to wszystko przełknąć. Spuścił nos i mrużąc „Idę na piwko ..”, zaczął się przeciskać przez tłum, ja zaś zostałem na miejscu, by zobaczyć, co będzie dalej.

Przez pewien czas nie działo się nic. Wszyscy tylko stali, przyglądali się wymieniając półgłosem uwagi. Farmerzy i kupcy są ludźmi niezdecydowanymi. Potem w pierwszych szeregach nastąpiło poruszenie. Jakiś wieśniak zerwał z głowy słomiany kapelusz, cisnął go sobie pod nogi i wykrzyknął głośno: „Było nie było, pięć monet to też pieniądz, no nie?” Wszedł stanowczym krokiem po drewnianych schodkach i zatrzymał się przy drzwiach furgonetki, wystawiając na widok publiczny jedynie odwrotną stronę swego tułowia, zakurzoną, z przyczepionymi tu i ówdzie

rzepami. Co tam mówił i o co pytał, pozostało tajemnicą skutkiem zbyt dużej odległości. Zauważyłem tylko, że najpierw postawa jego wyrażała napięcie, portem jakby odprężył się, włożył ręce do kieszeni i prostując się, pokiwał głową. Następnie na nikogo nie patrząc Zszedł ostrożnie na ziemię, podniósł swój kapelusz i otrzepawszy go starannie z kurzu, wmieszał się w tłum. Tymczasem w drzwiach furgonetki ukazał się mężczyzna rzeczywiście olbrzymiego wzrostu i rzeczywiście jednooki. Gdyby nie biały fartuch, można by go z tą czarną opaską na oku, zarośniętą gębą i tatuowanymi łapami wziąć jak nic za opryszka z dzielnicy slumsów. Obrzuciwszy nas chmurnym okiem, odwinął powoli rękawy, zapalił papierosa i dopiero wtedy odezwał się basem: „No, wchodźcie! Płacimy piątkę. Za jedną szklaneczkę. Gotówką! To przecież pieniądź! Za piątkę ile musicie się naharować? A tu przełknąć rurkę i cała fatyga? No?!” Patrzyłem na niego nie mogąc się nadziwić krótkowzroczności administracji. Jakże można liczyć na to, że obywatel, nawet chłop ze wsi, zgodzi się powierzyć swój organizm takiemu bojówkarzowi? Wydostałem się z tłumu i poszedłem na „spłachetek”.

Nasi już tam byli, wszyscy ze strzelbami, niektórzy nawet z białymi opaskami na rękawach. Polifem wsadził starą czapkę wojskową i zlany potem wygłaszał przemówienie, z którego wynikało, że zbrodnie Marsjan stały się już absolutnie nie do zniesienia, wszyscy patrioci jęczą i krwawią pod ich jarzmem, nadszedł wreszcie czas, by stawić im prawdziwy opór. „A wszystkiemu winni — perorował — dezerterzy i zdrajcy w rodzaju spasionych jak wieprze generałów, aptekarza Achillesa, tchórza Myrtilosa oraz tego przენiewiercy Apollina”.

W oczach mi pociemniało, gdy usłyszałem te ostatnie słowa. Kompletnie straciłem dar mowy i oprzytomniałem dopiero zauważywszy, że nikt poza mną Polifema nie słucha. Wszyscy, jak się okazało, słuchali nie tego jednonogiego durnia, lecz Sylena, który właśnie wrócił z merostwa i opowiadał, że podobno na przyszłość podatki mają być wpłacane wyłącznie sokami żołądkowymi i że z Maraten przyszło już zarządzenie nadające sokom żołądkowym wartość nominalnych jednostek monetarnych. Podobno znajduje się one w obiegu na równi z pieniędzmi i wszystkie banki oraz kasy oszczędności są już gotowe wymienić je na walutę. Zgryźliwy Paraleś natychmiast zauważył: „Ładnie się dorobili. Rozpaprali cały zapas złota i teraz próbują znaleźć pokrycie w sokach żołądkowych”. — „Jak to? — spytał Dimantes. — Nic nie rozumiem. Będziemy musieli sprawić sobie specjalne torby do noszenia, czy co? A jeśli dostarczę im wody zamiast, soków?” — „Słuchaj no, Sylenie — zawołał Morfeusz. — Jestem ci winien dziesiątkę. Weźmiesz sokiem?” Był niezwykle ożywiony, bo przecież wiecznie mu brakowało pieniędzy, wiecznie pił na cudzy rachunek. „Dobre czasy, kochani! Jak mi, na przykład, przyjdzie chęć na kielicha, to walę do banku, oddaję nadwyżki, zabieram gotówkę i — do knajpy!” Tu Polifem znowu wrzasnął: „Kupili was! Sprzedaliście się Marsjanom przez te soki żołądkowe! Kupili was i rozjeżdżają po mieście, jak po swoim Marsie!”

W rzeczy samej przez plac jechał wolniutko i niemal bezszelestnie bardzo dziwny pojazd czarnego koloru, nie mający, zdawało się, w ogóle kół, ani okien, ani drzwiczek. Za nim z krzykiem i gwizdem biegła czereda chłopców, niektórzy próbowali uczepić się go z tyłu, był jednak zupełnie gładki jak fortepian i wszelkie próby speliły na niczym. Bardzo oryginalny pojazd. „Czyżby to rzeczywiście marsjański?” — spytałem. — „A czyżby inny? — rzucił z ironią Polifem. — Może twój?” — „Nikt nie twierdzi, że mój — odparłem. — Mało to pojazdów na świecie, wszystkie muszą być zaraz marsjańskie?” — „Przecież nie mówię, że wszystkie, ty stary pryku! — ryknął. — Powiadam tylko, że ci cholerni Marsjanie rozjeżdżają po naszym mieście jak u siebie w domu! A wyście się im sprzedali!” Wzruszyłem ramionami nie chcąc się wdawać z nim w dyskusję, za to Sylen odpowiedział mu bardzo rozsądnie: „Wybacz, Polifemie, ale twoje wrzaski zaczynają mnie nużyć. I nie tylko mnie. Sądzę, że wszyscy spełnili swoją powinność. Utworzyliśmy drużynę, broń wyczyszczona, cóż Jeszcze, pytam?” — „Patrole! Konieczne są

patrole! —wybuchnął Polifem. — Trzeba zamknąć drogi. Nie puszczać Marsjan do miasta!” — „Nie puszczać? A to jakim sposobem?” — „Do cholery, Sylenie! Jakim? Bardzo prostym! »Stój, kto idzie? Będę strzelać!— I strzelasz!” Nie mogłem tego słuchać. To nie człowiek, to wcielone koszary. „No więc, można utworzyć patrole? — odezwał się, Dimantes. — Czy to takie trudne? — „Nie nasza rzecz — oświadczyłem stanowczo. — Byłoby to działanie bezprawne, Sylen niech potwierdzi moje słowa. Od tego jest wojsko. Niechaj ono zajmuje się patrolami i inną strzelaniną”.

Nie znoszę tych gier wojennych, szczególnie pod wodzą Polifema. To już zupełny sadyzm. Kiedyś, pamiętam, odbywały się w naszym mieście ćwiczenia przeciwatomowe. Otóż Polifem postarał się o tak ściśle naśladownictwo, że porozrzucił wszędzie świece dymne, aby nikt nie zbagatelizował rozkazu użycia masek gazowych. Ileż osób się zatrało, istny koszmar. Nie wolno mu zlecać takich spraw, to przecież zupak. Albo kiedyś zwałił Się do Szkoły na lekcję gimnastyki, zwymyślał ordynarnie nauczyciela i zaczął na swej jedynej nodze demonstrować dzieciom krok defiladowy. Jeżeli się znajdzie w patrolu, poty będzie kropił do każdego, aż ustanie wszelki dowóz żywności do miasta. Grosza bym nie dał, że i do Marsjan wygarnie, a oni spalą w odwet miasto. Cóż, kiedy nasza gwardia zachowuje się jak kupa dzieciaków. Tworzyć patrole? Dobra, tworzyć. Splunąłem demonstracyjnie i poszedłem do merostwa.

Pan Nikostrates polerował paznokcie i na moje nieśmiałe zapytania odpowiedział coś, co można streścić następująco: Polityka finansowa rządu ulega w nowych warunkach pewnej zmianie. Dużą rolę w obrocie pieniężnym będą obecnie spełniały tak zwane soki żołądkowe. Należy się spodziewać, że wspomniane soki wejdą w najbliższym czasie w obieg na równi z pieniędzmi. W sprawie rent nie ma na razie specjalnego zarządzenia, istnieją jednak podstawy do przypuszczeń, że skoro podatki mają być wpłacane tak zwanymi sokami żołądkowymi, to i renty będzie się wypłacać tymże środkiem obiegowym. Serce we mnie zamarło, ale zebrałem się na odwagę i zapytałem wręcz, czy mam rozumieć jego słowa w ten sposób, że tak zwane soki żołądkowe nie są właściwie sokami żołądkowymi, lecz jedynie pewnym symbolem nowej polityki finansowej. Pan Nikostrates wzruszył ramionami i nie odwracając wzroku od paznokci powiedział: „Soki żołądkowe są sokami żołądkowymi, panie Apollinie”. — „Ależ na co mi one?” — zawołałem w zupełnej rozpacz. Wzruszył znów ramionami: „Pan przecież wie doskonale, że soki żołądkowe są niezbędne każdemu człowiekowi”. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że pan Nikostrates albo łże, albo czegoś nie chce powiedzieć. Byłem tak przybity, że zażądałem widzenia” z panem merem. Odmówiono mi jednak. W tej sytuacji opuściłem merostwo i zapisałem się do patrolu.

Jeżeli człowiekowi po trzydziestu latach nienagannej pracy na niwie oświaty narodowej, proponuje się w nagrodę flakonik soków żołądkowych, to człowiek ów ma prawo demonstrować dowolny stopień oburzenia. Czy zawinili tu Marsjanie, czy nie Marsjanie, nie ma to nic do rzeczy. Nie cierpię żadnych działań anarchistycznych, ale o swoje prawa gotów jestem bić się z bronią w rękę. I choć wszystkim wiadomo, że mój protest ma charakter symboliczny, niech się nad tym zastanowią, niechaj wiedzą, że nie mają do czynienia z jakimś zahukanym urzędniczyzną. Oczywiście, gdyby punkty sokodawstwa stały się u nas systemem i gdyby bank oraz kasa oszczędności naprawdę wymieniały soki żołądkowe na walutę, odniósłbym się do tej sprawy inaczej. Jednakże o bankach i kasach mówił tylko Sylen, na razie więc są to nie potwierdzone pogłoski. Co się zaś tyczy punktów sokodawstwa, to Morfeusz, który zapisawszy się do patrolu postanowił niezwłocznie oblać ten fakt, oddał się w łapy jednookiego draba, a gdy wrócił z załzawionymi wprawdzie i czerwonymi oczami, ale i z nową chrzęszczącą piątką, dowiedzieliśmy się, że furgonetki za chwilę odjeżdżają. Czyli o żadnym systemie nie ma nawet mowy — przyjechali i odjeżdżają. Zdążyłeś oddać nadwyżki, to dobrze, nie zdążyłeś — miej do siebie pretensję.

Moim zdaniem to oburzające.

Polifem wyznaczył mnie i jakąś Kalaidesa do patrolowania placu Zgody oraz sąsiadujących z nim ulic od godziny dwunastej do drugiej w nocy. Wręczył nam zaświadczenia wystawione od ręki przez Sylena i klepiąc mnie po ramieniu, rzekł ze wzruszeniem: „Stary druhu! Co by te cywilne gnojki zrobiły bez nas, Febie? Wiedziałem, że w decydującej chwili będziesz ze mną”. Uściskaliśmy się rozrzewnieni do łez. Polifem jest w gruncie rzeczy niezłym człowiekiem, lubi tylko, by mu się bezwzględnie podporządkowywać. Całkiem zrozumiałe pragnienie. Poprosiłem go o pozwolenie odejścia i udałem się do Achillesa. Patrol patrolem, ale na wszelki wypadek trzeba coś przedsięwziąć. Zapytałem Achillesa, co to są właściwie soki żołądkowe. Kto ich może potrzebować? Do czego są przydatne? Wyjaśnił mi, że soki są potrzebne do prawidłowego trawienia pokarmów i chyba do niczego więcej. To wiedziałem i bez niego. „Niebawem będę mógł zaoferować ci sporą partię soków żołądkowych — oznajmiłem. — Kupisz?” Odpowiedział, że się zastanowi, po czym natychmiast zaproponował mi wymianę: moje niekompletne „Zoo” na jego nie ząbkowaną pocztę lotniczą z dwudziestego ósmego roku. To rzecz unikalna, trudno zaprzeczyć, ale ta Achillesa ma dwie podlepki i jakąś tłustą plamę. Nie wiem, nie wiem.

Po wyjściu z apteki znów zobaczyłem pojazd marsjański. Może to był ten sam, a może inny. Łamiąc wszelkie przepisy drogowe sunął środkiem ulicy z szybkością piechura, miałem więc okazję przyjrzeć mu się dokładnie, gdyż szedłem w tym samym kierunku — do gospody. Moje pierwsze wrażenie okazało się całkowicie trafne — pojazd do złudzenia przypominał zakurzony fortepian o aerodynamicznym kształcie. Od czasu do czasu coś pod nim błyskało i wtedy z lekka podskakiwał, nie była to jednak usterka, gdyż sunął naprzód nie zatrzymując się ani na sekundę. Drzwi i okien nie można było dostrzec nawet z bliska, najbardziej jednak zdumiewał mnie brak kół. Moja tusza nie pozwalała mi schylić się tak nisko, by zajrzeć pod spód. Możliwe, że były tam jakieś koła, niepodobna przecież, by ich w ogóle nie było.

Lecz oto pojazd zatrzymał się niespodziewanie. Oczywiście przed willą pana Laomedonta. Pamiętam, że pomyślałem z goryczą: są jednak na świecie ludzie, dla których nie stanowi najmniejszej różnicy, czy rządzi nowy prezydent, czy stary, Marsjanie czy jeszcze kto inny. Każda władza darzy ich zawsze szacunkiem i względami, na które bynajmniej nie zasługują, a nawet wręcz przeciwnie, jeśli mowa o szacunku. Tymczasem nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. Słusznie mniemając, że za chwilę ktoś wysiądzie z pojazdu i że nareszcie ujrzę żywego Marsjanina, przystanęłam z boku wraz z innymi obywatelami, których tok rozumowania był widocznie zbieżny z moim. Ku naszemu zdziwieniu i rozczarowaniu z pojazdu wysiedli nie Marsjanie, lecz jacyś przyzwoicie wyglądający młodzi ludzie— w wąskich paltach i jednakowych beretach. Trzej podeszli do drzwi frontowych i nacisnęli dzwonek, d pozostali dwaj z rękami głęboko w kieszeniach palt stanęli w niedbałych pozach obok pojazdu, wspierając się o niego różnymi częściami ciała. Drzwi od frontu otworzyły się, tamci trzej weszli do wnętrza, z którego po chwili dobiegły dziwne, niezbyt głośne dźwięki, jakby ktoś byle jak przesuwiał meble, a ktoś inny miarowymi uderzeniami trzepał dywan. Dwaj młodzieńcy przy pojeździe nie zwracali na te odgłosy najmniejszej uwagi. Stali w tych samych niedbałych pozach, jeden spoglądał z roztargnieniem w perspektywę ulicy, a drugi obserwował górne piętro willi. Nie zmienili pozy również w chwilę później, gdy z drzwi frontowych wyszedł jak ślepiec, powoli i ostrożnie, mój krzywdziciel, szofer pana Laomedonta. Twarz miał bladą, usta szeroko otwarte, oczy wytrzeszczone i szklane, obiema rękami mocno przyciskał brzuch. Zszedłszy na chodnik zrobił kilka kroków i usiadł z głuchym stęknieniem, po chwili, garbiąc się coraz bardziej, zwałił się skurczony na bok, poruszył nogami i znieruchomiał. Muszę przyznać, że początkowo nic z tego nie rozumiałem. Wszystko odbyło się w takim powolnym tempie, w takiej spokojnej, rzeczowej atmosferze, na tle codziennego hałasu miasta, że chcąc nie chcąc odniosłem wrażenie, iż tak właściwie być powinno. Nie odczuwałem żadnego niepokoju, nie szukałem wyjaśnień. Do tego

stopnia ufałem tym młodym ludziom tak przyzwoicie wyglądającym, takim zrównoważonym... Oto jeden spojrział z roztargnieniem na leżącego szofera, zapalił papierosa i znów zaczął obserwować górne piętro. Wydało mi się nawet, że się uśmiecha. Potem rozległ się odgłos kroków i z willi wyszli po kolei: młody człowiek w wąskim palcie ocierający wargi chusteczką, pan Laomedontos w wykwintnym wschodnim szlafroku, bez kapelusza i w kajdankach, drugi młody człowiek w wąskim palcie, zdejmujący po drodze rękawiczki, trzeci młody człowiek w wąskim palcie obładowany bronią. Prawą ręką przyciskał do piersi trzy lub cztery automaty, w lewej niósł trzy lub cztery pistolety wsunawszy palec w kabłąki spustowe i oprócz tego na każdym ramieniu miał przewieszony erkaem. Na pana Laomedonta spojrziałem tylko raz, lecz i to było aż nadto wystarczające — do dziś zachowało się we mnie wrażenie czegoś czerwonego, mokrego i lepkiego. Cała kawalkada wolnym krokiem zeszła na chodnik i skryła się we wnętrzu pojazdu. Stojący obok dwaj młodzi ludzie odsunęli się leniwie od polerowanego boku, podszli do leżącego szofera i ujawszy go ostrożnie za ręce i nogi, rozhuścili go z lekka i wrzucili do sieni. Następnie jeden wyjął z kieszeni i starannie przykleił obok dzwonka jakiś papier, równocześnie pojazd nie odwracając ruszył z dawną szybkością w odwrotnym kierunku, młodzi ludzie zaś z minami niesłychanie skromnymi przeszli przez rozstępujący się tłum i zniknęli za rogiem ulicy.

Gdy otrząsnąłem się z osłupienia, w jakie wtrąciła mnie nagłość i niezwykłość wypadków, i znów odzyskałem zdolność myślenia, nastąpiło coś w rodzaju wstrząsu psychicznego, jakbym oglądał wsteczny bieg tej historii. Jestem przekonany, że podobny wstrząs przeżyła reszta świadków. Wszyscy skupiliśmy się przed wejściem, lecz nikt nie odważył się przekroczyć progu. Włożyłem okulary i ponad głowami ludzi przeczytałem ogłoszenie: „Narkotyki są trucizną i hańbą narodu! Nadszedł czas, by położyć temu kres. I uczynimy to, a wy nam pomożecie. Szerzyciele narkotyków będą surowo karani.” Gdyby chodziło o kogoś innego, ludzie mieliby temat do roztrząsania co najmniej na dwie godziny, teraz jednak wymieniali tylko krótkie okrzyki nie będąc w stanie przełamać nieśmiałości. „Ojej, jej...” — „Coś takiego, no, no!” — „Tak, tak, moi państwo, niestety!...” — Ktoś wezwał policję i lekarza. Lekarz wszedł do środka i zajął się szoferem. W chwilę później przybył policyjnym łożyskiem Pandareos. Podreptał chwilę przed drzwiami, kilkakrotnie przeczytał ogłoszenie, podrapał się po głowie i nawet zajrzał do środka wciąż nie mając odwagi wejść, mimo że zdenerwowany lekarz wzywał go nie przebierając w słowach. Stanął wreszcie na progu wsunawszy dłonie za pas, rozkraczył szeroko nogi nadął się jak indor. Po przybyciu policji ludzie nabrali trochę więcej śmiałości. Zaczęto jaśniej formułować myśli. „A więc w „taki sposób, hm?” — „Tak, o czym tu gadać, wszystko jasne...” — „Ciekawe, ciekawe, panowie!” — „Nigdy w życiu bym nie uwierzył...” Poczułem niepokój słysząc, że języki rozwiązują się coraz bardziej i już chciałem odejść, choć ciekawość przykuwała mnie do miejsca, gdy nagle Sylen spytał bez ogródek: „Więc jednak prawo okazało się silniejsze? Zdecydowaliście się wreszcie. Pan?” Pandareos sznurując znacząco wargi odpowiedział po chwili wahania: „Sądzę, że to nie my”. „Jak to — nie wy? Któż wobec tego?” — „Sądzę, że to żandarmeria stołeczna” — wymówił świszczącym szeptem rozglądając się wokół. „Co takiego? — rozległy się okrzyki w tłumie. — Żandarmeria w marsjańskim samochodzie? Zawracanie głowy!” — No więc kto ostatecznie? Może sami Marsjanie?” Pandareos nadął się jeszcze — bardziej i wrzasnął: „Hej, kto tam o Marsjanach? Ostrożnie!” Ale nikt już na niego nie zwracał uwagi. Języki rozwiązały się do reszty. „Samochód może i marsjański, jednak to na pewno nie byli Marsjanie. Zachowywali się zwyczajnie, jak ludzie”. — „Racja! Co na przykład obchodzą Marsjan narkotyki?” — „Ejże, stary, nowa miotła dobrze zamiata. A co ich obchodzą nasze soki żołądkowe?” — „Nie, panowie, to nie byli ludzie. Znadto spokojni, znadto milczący. Ja myślę, że to właśnie byli Marsjanie. Pracują jak maszyny”. — „Otóż to, jak maszyny! Roboty! Po cóż Marsjanom brudzić ręce? Od tego mają roboty”. Pandareos nie wytrzymał dłużej i również wtrącił swoje trzy grosze. „Nie, to nie są

roboty. Teraz jest taki system. Do żandarmerii przyjmuje się wyłącznie głuchoniemych. W celu zachowania tajemnicy państwowej”. Hipoteza ta wywołała najpierw zdumienie, a potem kąśliwe repliki, w większości bardzo dowcipne, niestety zapamiętałem tylko uwagę zgryźliwego Paralesa. Powiedział coś w tym sensie, że owszem, to byłaby niezła myśl z głuchoniemymi w policji, tylko nie w celu zachowania tajemnicy państwowej, lecz uchronienia Bogu ducha winnych ludzi od potoków głupstwa wylewanego na nich przez te oficjalne osobistości, Pandareos, który rozpiął był płaszcz, natychmiast, rzecz jasna, naburmuszył się, zapiął go z powrotem i ryknął: „Dość gadania!” No i niestety musieliśmy się rozejść, choć właśnie podjechała karetka pogotowia. Stary osioł tak się rozjuszył, że mogliśmy tylko z daleka obserwować, jak wynoszą z sieni rannego szofera, a po nim, ku naszemu zdziwieniu, jeszcze jakieś dwie osoby. Nasi udali się całą gromadą do gospody i ja też poszedłem z nimi. Przy bufecie siedzieli w niedbałych pozach ci sami dwaj młodzi ludzie w wąskich paltach. Podobnie jak przedtem byli opanowani i milczący, popijali dżin i spoglądali roztargnionym wzrokiem gdzieś ponad głowy ludzi. Zamówiłem dla siebie obiad i jedząc obserwowałem, jak co ciekawsi z naszych krok za krokiem przysuwają się do nich. Śmieszył mnie widok Morfeusza, niezręcznie próbującego zagaic z nimi rozmowę na temat pogody w Maratenach, lub Paralesa, który postanowiwszy chwycić byka za rogi proponował im szklaneczkę. Młodzi ludzie sprawnie wychylali podsuwane im trunki, zachowując w dalszym ciągu beznamienne milczenie. Żarty ich nie śmieszyły, aluzje nie urażały, a pytań zadawanych wprost jakby w ogóle nie słyszeli. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Raz podziwiałem ich niezwykle opanowanie, obojętność wobec komicznych prób wciągnięcia ich do rozmowy, raz skłonny byłem uważać ich naprawdę za marsjańskie roboty, bowiem odrażający wygląd Marsjan nie pozwala im stanąć przed nami we własnej osobie, raz znów zaczynałem podejrzewać, iż są to właśnie Marsjanie, o których w gruncie rzeczy do dziś niczego nie wiemy. Tymczasem rozzuchwaleni nasi obstawili młodych ludzi i już całkiem bez żenady wymieniali uwagi na ich temat, ten i ów odważył się nawet wypróbować w palcach materiał ich palt. Wszyscy byli przekonani, iż mają przed sobą roboty. Japet zaczął się nawet denerwować. Podając mi brandy rzekł niespokojnie: „Jeżeli to są roboty, to jak? Wzięli po dwa dżiny, po dwie brandy, dwie paczki papierosów, a kto będzie płacił?” Wyjaśniłem mu, że zaprogramowanie robotów, w którym przewidziano konsumpcję trunków i papierosów, musi też niewątpliwie przewidywać jakiś sposób zapłaty. Ledwie się uspokoił, przy bufecie wybuchła awantura.

Z późniejszych relacji dowiedziałem się, że zgryźliwy Parales założył się z Dimantesem, iż ten ostatni przytknie do ręki robota zapalony papieros i nic się nie stanie. Na własne zaś oczy ujrzałem, co następuje. Z rozbawionego tłumu wystrzelił naraz niby korek z butelki Dimantes. Przeleciał tyłem przez całą salę, nieporadnie wierzgając nogami, przewracając po drodze stoliki i ludzi, i upadł w rogu pod ścianą. Nie zdążyłem okiem mrugnąć, gdy w identyczny sposób, tylko w drugim rogu wylądował Parales. Nasi rozsypali się w popłochu, a ja, nic jeszcze wówczas nie pojmując, zobaczyłem młodych ludzi siedzących spokojnie, jak przedtem, i w zamyśleniu jednakowym ruchem podnoszących do ust kieliszki.

Paralesa i Dimanta podniesiono i zaciągnięto na zaplecze. Wziąłem moją szklanę i poszedłem za nimi, aby się dowiedzieć, co takiego zaszło. Trafiłem na moment, gdy Parales, który już zdążył oprzytomnieć, siedział i z niesłychanie głupią miną obmacywał swoją pierś. Dimantes był jeszcze trochę zamroczony, ale przełykał dżin i popijał wodą sodową. Obok stała służąca trzymając w pogotowiu ręcznik, by podwiązać mu szczękę, jak tylko się ocknie. Taką właśnie usłyszałem wersję incydentu i zgodziłem się z ogólnym zdaniem, że Parales to prowokator, a Dimantes zwyczajny dureń, nie lepszy od Pandareosa. Jednakże te rozsądne uwagi bynajmniej na zadowolili naszych, przeciwnie, ubzdurali sobie, że tego nie wolno puścić płazem. Polifem, który dotychczas pozostawał w cieniu, wystąpił naraz z oświadczeniem, iż będzie to pierwsza akcja bojowa naszej



drużyny. „Przywitamy tych bubków, jak wyjdą z knajpy” — powiedział, i z miejsca zaczął wydawać rozkazy, kto i gdzie ma stanąć, kiedy i po czym należy tłuc. Odżegnałem się natychmiast od tego pomysłu. Po pierwsze jestem przeciwnikiem wszelkiej przemocy. Po drugie, nie wydawało mi się wówczas, aby wina leżała wyłącznie po stronie młodych ludzi. I wreszcie nie zamierzałem w ogóle bić się z nimi, lecz pomówić o swoich sprawach. Wycofałem się cichaczem z zaplecza, wróciłem do swego stolika i to był właśnie początek tak smutnych dla mnie wypadków.

Nawet dziś zresztą, gdy spoglądam na miniony dzień zupełnie innymi oczami, muszę stwierdzić, że moje postępowanie było i jest bezbłędne. Młodzi ludzie — rozumowałem — nie pochodzą z naszych stron. Przybyli samochodem marsjańskim, więc raczej ze stolicy. Ponadto udział w rozprawie z panem Laomedontem świadczy najwyraźniej o ich przynależności do wysokich władz, wątpię, by posłano po niego jakichś szeregowych wykonawców. A zatem z logiki rzeczy wynikało, że muszą oni być dobrze zorientowani w nowych warunkach i mogę się od nich dowiedzieć o sprawach, które mnie interesują. W sytuacji szarego człowieka, nad którym znęca się »r pana Laomedonta i któremu odmawia wyjaśnień sekretarz merostwa, niepodobna lekceważyć okazji uzyskania wiarygodnych informacji. Z drugiej strony młodzi ludzie nie budzili we mnie żadnych obaw. Służba jest służbą, a pan Laomedontos dawno już powinien dostać, no co zasłużył. Co się tyczy incydentu z Paralesem i Dimantem, to przepraszam bardzo, Dimantes jest głupcem, z którym lepiej nie wdawać się w żadne sprawy, a Parales swymi kąśliwymi uwagami potrafi nawet świętego wyprowadzić z równowagi. Nie wspominam już o tym, że ja też nie pozwoliłbym, aby ktoś nazywał mnie robotem i w dodatku przypiekał mi rękę papierosem.

Stąd też, gdy wysączywszy resztę brandy szedłem ku młodym ludziom, byłem głęboko przekonany o powodzeniu mego zamiaru. Obmyśliłem w najdrobniejszych szczegółach plan rozmowy, uwzględniając zarówno rodzaj ich pracy, jak i nastrój po niedawnym incydencie, jak wreszcie ich wrodzoną zapewne milkliwość oraz rezerwę. Najpierw chciałem przeprosić za nietaktowne zachowanie się moich kompatriotów. Następnie przedstawić się, wyrazić nadzieję, że im nie przeszkadza, ponarzekać trochę na jakość brandy, którą Japet nierzadko doprawia tańszymi gatunkami, po czym zaproponować szklaneczkę z mojej własnej butelki. I dopiero później, po wymianie uwag o pogodzie w Maratenach i w naszym mieście, zamierzałem delikatnie przejść do tematu zasadniczego. Zbliżając się do nich zaobserwowałem, że jeden zajęty jest zapalaniem papierosa, a drugi, odwróciwszy się od bufetu, śledzi mnie uważnie i jak mi się wydawało, z zaciekawieniem. Dlatego też postanowiłem zwrócić się właśnie do niego. Uniosłem kapelusza i powiedziałem „Dobry wieczór”. Na to ów bubek poruszył leniwie ramieniem i równocześnie poczułem, jakby w mej głowie rozerwał się granat. Nic nie pamiętam. Tylko to, że długi czas leżałem na zapleczu obok Paralesa, przełykałem dżin popijając wodą sodową i ktoś przykładał mi na podbite oko zimną, mokrą serwetkę.. i oto teraz sam sobie zadaję pytanie — czego mogę spodziewać się dalej? Nikt się za mną nie ujął, nie podniósł się żaden głos protestu. Wszystko znów się powtarza. Znów przerażający faceci tłuką ludzi na ulicach. A gdy Polifem odwiózł mnie do domu swoim małolitrażowym wozem, moja córka, obojętna jak wszyscy, całowała się w ogrodzie z panem sekretarzem. No cóż, gdybym nawet wiedział, jak to się skończy, i tak podjąłbym, musiałbym podjąć próbę nawiązania z nimi rozmowy. By(bym tylko ostrożniejszy, nie podchodziłbym blisko, ale informacje mogłem uzyskać tylko od nich. Nie jestem w stanie dłużej udzielać lekcji, nie chcę trząść się nad każdym groszem, nie chcę sprzedawać domu, w którym przeżyłem tyle lat. Boję się tego, pragnę spokoju.

## 8 CZERWCA

Temperatura plus siedemnaście, zachmurzenie umiarkowane, wiatry południowe dość słabe. Siedzę w domu, nigdzie nie wychodzę, nikogo nie widuję. Obrzęk się zmniejszył, uszkodzone miejsce prawie nie boli, ale mimo to wyglądam okropnie. Przez cały dzień grzebałem się w znaczkach i oglądałem telewizję. W mieście wszystko po staremu. Wczorajszej nocy nasza złota młodzież otoczyła zakład madame Persefony, zajęty przez żołnierzy. Podobno odbyła się formalna bitwa. Obiekt pozostał w rękach wojska. (To nie jacyś tam Marsjanie). W prasie nic szczegółowego. O embargu ani słowa, można by pomyśleć, że je całkiem zniesiono. Jest dość dziwne przemówienie ministra spraw wojskowych, złożone petitem, z którego wynika, że nasz udział we Wspólnocie Wojskowej stanowi obciążenie dla państwa i nie jest tak uzasadniony, jak to może wydawać się na pierwszy rzut oka. Chwalić Boga, połapał się po jedenastu latach! Głównie jednak rozpisują się o farmerze Perifantesie, który wsławił się tym, że może oddać około czterech litrów soków żołądkowych na dobę bez najmniejszego uszczerbku dla Swego organizmu. Podają jego trudną biografię z wieloma intymnymi szczegółami, wywiad z nim, a telewizja nawet kilka razy nadawała obrazki z jego życia. Tęgi czterdziestoletni prostak bez źdźbła inteligencji. Nikt by nie pomyślał patrząc na niego, że to taki fenomen. Bez przerwy powtarzał z naciskiem, że ma zwyczaj co rano ssać kostkę cukru. No cóż, trzeba będzie spróbować.

Hm! Jest również artykuł weterynarza Kalaidesa o szkodliwości narkotyków. Pisze on mianowicie, że regularne spożywanie narkotyków przez bydło rogate działa wyjątkowo szkodliwie na proces wydzielania soków żołądkowych. Dołącza nawet wykres, śmieszna rzecz — artykuł napisany normalnym językiem, a czyta się okropnie trudno. Ciągle mi się wydaje, że słyszę jąkającego się Kalaidesa. Ogólnie jednak nasuwa się wniosek, że pana Laomedonta zlikwidowano za, to, że przeszkadzał obywatelom w swobodnym wydzielaniu soków żołądkowych. Odnosi się wrażenie, jakby wspomniane soki stanowiły kamień węgielny nowej polityki państwowej. Tego jeszcze nie było. Ale jak się głębiej zastanowić, to czemu nie miałyby być?

Hermiona wróciła z wizyty przynosząc wiadomość, że w dawnej willi pana Laomedonta powstaje stacjonarny punkt sokodawstwa. O ile to prawda, to wyrażam uznanie i popieram. Jestem w ogóle za wszelką stacjonarność i stabilizację.

Moje kochane znaczkii, moje znaczuszkii! Wy jedyne nigdy nie psujecie mi nerwów

## 9 CZERWCA

Temperatura plus szesnaście, zachmurzenie umiarkowane, przelotne deszcze. Obrzęk znikł całkowicie, lecz spora przestrzeń wokół oka, o czym zresztą uprzedzał mnie Achilles, przybrała paskudny zielony odcień. Nie mogę pokazać się na ulicy, oprócz głupich żartów nie usłyszałbym nic innego. Rano dzwoniłem do merostwa, pan Nikostrates jednak raczył być w żartobliwym nastroju i nie udzielił mi żadnych nowych informacji dotyczących renty. Bardzo mnie to, oczywiście, wzburzyło, próbowałem dla ukojenia nerwów zająć się znaczkami, lecz nawet 'one nie przyniosły mi ulgi. Posłałem więc Hermionę do apteki po jakiś środek uspokajający, wróciła jednak z pustymi rękami. Okazuje się, że Achilles otrzymał specjalny okólnik, dopuszczający sprzedaż tego typu leków wyłącznie na receptę lekarza miejskiego. Zadzwoiłem, wściekły, do apteki i zrobiłem mu awanturę, ale między nami mówiąc — cóż on winien? Wszystkie lekarstwa zawierające narkotyki znajdują się pod ścisłą kontrolą policji oraz pełnomocnika merostwa. No

cóż, gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą. Napilem się koniaku, i to w obecności Hermiony. Pomogło. Nawet bardziej niż leki. A Hermiona słowa nie pisała.

Do Myrtilosa, który wciąż jeszcze mieszka w namiocie, powróciła dziś z rana rodzina. Przyznam, że się ucieszyłem. Była to niechybna oznaka, że sytuacja w kraju powoli się stabilizuje. I oto nagle po południu widzę, że Myrtilos znów ładuje żonę i dzieci do autobusu. Co się stało? „Dobra, dobra — odburknął po swoim. — Wszyscy jesteście mądrali, tylko ja jeden głupi...” Był na „spłachetku” i tam się dowiedział, że Marsjanie zamierzają pociągnąć do odpowiedzialności skarbnika oraz architekta za sprzeniewierzenie i inne machinacje. Podobno ich już dokądś wzywano. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że to dobry objaw, świadczący, że istnieje sprawiedliwość, ale gdzie tam! „Dobra, dobra — mrucał — sprawiedliwość... Dziś skarbnika i architekta, jutro mera, a pojutrze nie wiem kogo, może mnie? Szkoda gadać. Tobie gębę przefasonowali, to także sprawiedliwość?” Nieee, doprawdy nie można z nim rozmawiać. A niech go diabli.

Dzwonił pan Korybantes, który, jak mnie poinformował, zastępuje w redakcji Charona. Głos drżący, żaloszny, mają jakieś nieprzyjemności z władzami. Błagał, by mu powiedzieć, kiedy Charon wraca. Rozmawiałem z nim, rzecz jasna, bardzo uprzejmie, nie napomknąłem jednak ani słowem, że Charon był już raz w domu. Intuicyjnie czuję, że nie należy o tym rozpowiadać. Bóg wie, gdzie on teraz jest i co robi. Jeszcze tylko brakuje mi przykrości z powodu polityki. Nikomu o nim nie wspominam, zabroniłem również Hermionie i Artemidzie. Hermiona w lot się zorientowała, o co chodzi, ale Artemida urządziła scenę.

## 10 CZERWCA

Dopiero teraz czuję się jako tako, choć w dalszym ciągu jestem cierpiący i wyczerpany. Egzema rozszalała się jak nigdy. Cały jestem obsypany bąblami, drapię się ustawicznie, choć wiem, że tego robić nie wolno. I przesiadują mnie straszne, natarczywe mary, od których próżno chcę się uwolnić. Rozumiem, gdy trzeba zabijać na rozkaz — zabijasz, bo inaczej zabiją ciebie. To jest również straszne, lecz przynajmniej naturalne. A tych przecież nikt nie zmusza. Partyzanci! Znam to dobrze. I czy mogłem się spodziewać, że u schyłku życia wypadnie mi znów oglądać to na własne oczy?

Zaczęło się od tego, że wczoraj rano wbrew wszelkim oczekiwaniom dostałem bardzo przyjazną odpowiedź od generała Alkima. Pisał, że pamięta mnie doskonale, darzy wielką sympatią i życzy wszelkiej pomyślności. Byłem nadzwyczaj poruszony. Nie mogłem po prostu znaleźć sobie miejsca. Naradziłem się z Hermioną i ona również zgodziła się z tym, że takiej okazji przegapić nie wolno. Peszyło nas tylko, że czasy były niespokojne. I nagle widzimy, że Myrtilos zwija swój przejściowy obóz i zaczyna z powrotem przynosić rzeczy do domu. To przeważało szalę. Hermioną uszyła mi elegancką czarną opaskę na chore oko, wziąłem teczkę z dokumentami, wsiadłem do samochodu i wyruszyłem do Maraten.

Pogoda mi sprzyjała, jechałem spokojnie pustą szosą między niebieszczącymi się polami i rozważałem ewentualne warianty mego postępowania zależnie od takich lub innych okoliczności. Tymczasem, jak to zwykle bywa, nader szybko zaszło coś nieprzewidzianego. Na mniej więcej czterdziestym kilometrze za miastem silnik zaczął się krztusić, samochód szarpnął kilka razy, potem ciągnął coraz gorzej i wreszcie stanął. Było to na szczycie wzniesienia, a gdy wyszedłem na drogę, ukazał się mym oczom prześliczny sielski krajobraz, sprawiający co prawda dość niezwykle wrażenie z powodu błękitnej barwy dojrzewających zbóż. Pamiętam, że mimo niespodziewanej

zwłoki byłem całkowicie spokojny i z rozkoszą napawałem się widokiem rozrzuconych w oddali schludnych białych farm. Niebieskie zboża obrodziły bujnie, sięgając niekiedy wzrostu człowieka. Nigdy w naszych stronach nie widywało się tak obfitych plonów. Szosa biegnąca prosto jak strzała była widoczna aż po linię horyzontu. Podniosłem maskę i przez jakiś czas badałem silnik próbując znaleźć usterkę. Ale kiepski ze mnie mechanik, więc dość szybko straciwszy nadzieję, rozprostowałem obolałe plecy i zacząłem rozglądać się dokoła zastanawiając się, do kogo mógłbym zwrócić się o pomoc. Najbliższa farma leżała jednak zbyt daleko, na drodze zaś dostrzegłem tylko jeden samochód, jadący z dużą szybkością od strony Maraten. Moja radość prędko się rozwinęła, stwierdziłem bowiem ku memu wielkiemu rozczarowaniu, iż jest to czarny samochód marsjański. Mimo to nie ze wszystkim straciłem nadzieję pamiętając, że w marsjańskich pojazdach mogą znajdować się również zwykli śmiertelnicy. Perspektywa zatrzymania tej czarnej maszyny niezbyt mi się uśmiechała, a nuż zobaczę w niej Marsjan, przed którymi odczuwałem instynktowny strach. Ale nie miałem wyboru. Podniosłem rękę i zrobiłem kilka kroków w kierunku samochodu, który dotarł już do podnóża wzniesienia. I nagle stała się rzecz straszna.

Znajdowałem się w odległości pięćdziesięciu metrów, gdy błysnął żółty płomień, samochód podskoczył i stanął dęba. Rozległa się potężna eksplozja, szosę zasnuła chmura dymu. Potem zobaczyłem, że wóz jak gdyby usiłuje wleciec, wznosił się już nawet ponad chmurą przechylając się coraz bardziej na bok, wtem zamigotały jeszcze dwa błyski, podwójny grzmot rozdarł powietrze, samochód wywinął koźła i całym ciężarem runął na asfalt, aż ziemia zakotłosała się pod moimi omdlałymi ze zgrozy nogami. Co za straszna katastrofa, pomyślałem w pierwszej chwili. Samochód stanął w ogniu, z wnętrza zaczęły wyskakiwać jakieś czarne, objęte płomieniami sylwetki. Równocześnie wybuchła strzelanina. Nie mogłem się zorientować, kto i skąd strzela, za to wyraźnie widziałem, do kogo. Czarne sylwetki miotają się w płomieniach i dymie i padały jedna za drugą. Wśród huku strzałów słyszałem rozdzierające nieludzkie krzyki, po chwili wszystkie już, płonąc jak pochodnie, leżały obok przewróconego wozu, ale strzelanina nie ustawała. Nagle samochód z ogłuszającym łoskotem wyleciał w powietrze, biały, niesamowity blask poraził moje oko, gęsty, gorący podmuch ał mnie po twarzy. Odruchowo zmrużyłem oko, a gdy je znów otworzyłem, szosą biegło w moim kierunku, niby olbrzymia małpa na rozkraczonych nogach, jakieś czarne, ogarnięte płomieniami stworzenie, wlokąc za sobą czarny ogon dymu. Równocześnie z niebieskich łańców po lewej stronie wyskoczył mężczyzna w mundurze wojskowym, z automatem w pogotowiu, zatrzymał się pośrodku drogi, przyklęknął szybko i zaczął strzelać z bliska do czarnej, płonącej postaci. Moje przerażenie było tak wielkie, że poprzednia odrętwiałość minęła, znalazłem tyle sił, by się odwrócić i puściłem się pędem do mego samochodu. Jak szalony naciskałem starter nic przed sobą nie widząc, nie pamiętając, że silnik nie działa, wkrótce jednak siły znów mnie opuściły, siedziałem i patrzyłem przed siebie błędnym wzrokiem, bierny, półprzytomny świadek straszliwej tragedii. Jak we śnie widziałem, że na szosę wychodzą jeden po drugim uzbrojeni ludzie, otaczają miejsce katastrofy, pochylają się nad płonącymi ciałami, odwracają je wymieniając krótkie okrzyki, których dobrze nie słyszałem z powodu krwi huczącej mi w skroniach. U dołu wzniesienia zebrało się ich czterech, a wojskowy, sądząc po naramiennikach — oficer, stał na dawnym miejscu, o kilka kroków od zabitego, i ładował automat. Potem zbliżył się z wolna do leżącego, zniżył lufę i oddał krótką serię. Widziałem, jak ciało okropnie się szarpnęło i zwymiotowałem na kierownicę oraz na spodnie. A potem przyszło najstraszniejsze.

Oficer rzucił szybkie spojrzenie na niebo i odwrócił się do mnie — nigdy nie zapomnę tego zimnego, okrutnego wzroku — następnie, trzymając automat za kolbę, ruszył w moim kierunku. Słyszałem, jak ci na dole coś do niego wołali, ale się nie obejrzał. Szedł do mnie. Musiała mnie na chwilę opuścić przytomność, ponieważ nie pamiętam nic do momentu, gdy ocknąłem się stojąc

obok samochodu naprzeciwko niego oraz jeszcze dwóch powstańców. Boże, jak ci ludzie wyglądali! Wszyscy trzej od dawna nie goleni, brudni, ubrania wysmarowane i dziurawe, mundur wojskowy również w opłakanym stanie. Oficer miał na głowie hełm, jeden z cywilów — czarny beret, drugi, w okularach, był w ogóle bez nakrycia głowy. „Co z panem, czy pan ogłuchł? — mówił ostrym tonem oficer trzęsąc mnie za ramię, zaś mężczyzno w berecie krzywił się i cedził przez zęby: „Niechże pan go zostawi, co to panu da?” Zebrałem resztki moich wątłych sił i świadomy, że od tego zawisło moje życie, starałem się mówić spokojnie. „Czego pan sobie życzy?” — zapytałem. „Zwyczajny mieszczuch — rzekł mężczyzna w berecie. — O niczym nie wie i wiedzieć nie chce!” — „Chwileczkę, inżynierze — odparł z rozdrażnieniem oficer. — Kim pan jest? — zwrócił się do mnie. — Co pan tu robi?” Opowiedziałem mu wszystko nic nie zataiwszy, a on słuchając mnie spoglądał raz po raz na boki i na niebo, jakby obawiał się deszczu. Mężczyzna w berecie przerwał mi w pewnej chwili i zawołał do niego: „Nie mam zamiaru dłużej ryzykować! Odchodzę, a pan jak sobie chce!” Odwrócił się i zbiegł na dół. Tamci dwaj zostali jednak i wysłuchali mych wyjaśnień do końca. Próbowalem po ich minach odgadnąć dalsze moje losy. Nie wróżyły nic dobrego i wówczas zaświtała mi zbawienna myśl — zapominając o wszystkim, co mówiłem przed chwilą, palnąłem nagle: „Proszę przyjąć do wiadomości, że jestem teściem pana Charona”. — „Jakiego Charona?” — zapytał powstaniec w okularach. — „Naczelnego redaktora gazety okręgowej”. — „I co z tego?” — zauważył okularnik, a oficer w dalszym ciągu obserwował niebo. To mnie zbiło z tropu, widocznie nie znali Charona. Mimo to powiedziałem: „Mój zięć zaraz pierwszego dnia wziął automat i poszedł z domu”. — „Doprawdy? — rzekł okularnik. — To mu przynosi zaszczyt”. — „Wszystko to są głupstwa — przerwał oficer. — Co słyhać w mieście? Co z wojskiem?” — „Nie wiem. W mieście jak dotąd, spokój”. — „Dostęp do miasta wolny?” — „Wydaje mi się, że tak. Jednakże — poczułem się w obowiązku dodać — mogą was zatrzymać patrole miejskiej drużyny antymarsjańskiej”. — „Co takiego? — spytał oficer i po raz pierwszy na jego okrutnej twarzy odmalowało się coś w rodzaju zdziwienia. Przesłał nawet obserwować niebo i spojrzął na mnie. — Jakiej drużyny?” — „Antymarsjańskiej — powtórzyłem. — Pod dowództwem Polifema. Zna go pan może? Podoficer inwalida”. — „Diabelstwo jakieś. Może pan odwieźć nas do—miasta?” — zapytał. Serce we mnie zamarło. „Oczywiście — powiedziałem — tylko że mój samochód...” — „Aha. Coś w nim nawaliło?” Zelgałem w przystępie odwagi: „Chyba silnik się zatarł...” Oficer gwizdnął przez zęby, odwrócił się bez słowa i zniknął w zbożu. Okularnik jednak nie przestawał obserwować mnie uważnie i nagle zapytał: „Ma pan wnuki?” — „Mam! — skłamałem w zupełnym popłochu. — Dwoje! Jedno jeszcze niemowlę...” Pokiwał współczująco głową. „Straszne — powiedział. — To właśnie dręczy mnie najbardziej. One o niczym nie wiedzą i teraz już nie dowiedzą się nigdy...” Nie zrozumiałem z tego ani słowa i nie pragnąłem zrozumieć, modliłem się tylko w duszy, by jak najprędzej odszedł i nie wyrządził mi nic złego. Ni stąd, ni zowąd wyobraziłem sobie, że ten spokojny człowiek w okularach jest z nich wszystkich najgroźniejszy. Przez chwilę czekał na moją odpowiedź, potem zarzucił automat na ramię i rzekł: „Radzę panu natychmiast stąd odejść. Do widzenia”. Nie czekałem, aż zniknie mi z oczu. Ruszyłem co tchu w powrotną drogę do miasta. Jakby wicher niósł mnie na swoich skrzydłach. Nie odczuwałem zmęczenia w nogach ani zadyszki, zdawało mi się, że słyszę z tyłu łoskot jakiegoś pojazdu mechanicznego, nawet się nie obejrzałem, próbowałem biec jeszcze szybciej. Wtem z polnej drogi skręciła na szosę niewielka ciężarówka, ciasno nabita farmerami. Byłem półprzytomny, mimo to znalazłem tyle sił, by zagrozić im drogę. Zacząłem machać rękami i wołać: „Stójcie! Tędy nie wolno! Tam partyzanci!” Ciężarówka stanęła, obstąpili mnie prości, gburowaci ludzie, uzbrojeni z jakiegoś powodu w karabiny. Chwyтали mnie za pierś, trzęśli, wymyślali ordynarnie, byłem przerażony, nie miałem pojęcia, o co im chodzi, dopiero po pewnym czasie domyśliłem się, że biorą mnie za współnika powstańców. Nogi ugięły się pode

mną, ale wtem z kabiny wysiadł szofer, w którym na szczęście rozpoznałem mego byłego ucznia. „Ludzie, co wy robicie?! — krzyknął przytrzymując ich za ręce. — To przecież pan Apollo, nauczyciel z miasta! Znam go dobrze!” Nie od razu wprawdzie, ale dali się przekonać i wtedy dopiero opowiedziałem im o wszystkim, czego byłem świadkiem. „Aha — zawołał szofer. — Teraz już wiadomo. Wyłapiemy ich co do nogi. Ruszajcie, chłopaki”. Ja również chciałem udać się w dalszą drogę, wytłumaczył mi jednak, że bezpieczniej będzie pozostać z nimi, tym bardziej że zanim tamci skończą obławę, on spokojniutko naprawi mój samochód. Podsadzili mnie do kabiny i ciężarówka ruszyła na miejsce tragedii. Oto już szczyt wzniesienia, oto mój samochód, a dalej droga zupełnie pusta. Żadnych zwłok ani odłamków, zostały tylko wypalone plamy na asfalcie i niezbyt głęboka wyrwa w miejscu, gdzie nastąpił wybuch. „Wiadomo — powiedział szofer zatrzymując ciężarówkę. — Już zdążyli sprzątnąć. O. patrzcie, tam uciekają...” Podniósł się gwar, inni też zaczęli pokazywać na horyzont od strony Maraten, tylko ja, choć usilnie wpatrywałem się moim jedynym okiem w pogodne niebo, niczego nie zdołałem dostrzec.

Następnie farmerzy sprawnie, w sposób świadczący o dużej rutynie, podzielili się bez zamieszania i zbędnych dyskusji na dwie grupy po dziesięć osób. Grupy te rozsypały się w tyralierę i poszły przeczesywać zboża — jedna na prawo, druga na lewo. „Oni mają automaty — ostrzegłem. — I chyba granaty również”. — „Wiemy o tym dobrze” — odpowiedzieli, a nieco później dobiegły nas okrzyki będące niechybną oznaką, że obława natrafiła na ślad. Szofer tymczasem zajął się naprawą mego samochodu, ja zaś, siadłszy wygodnie na tylnym siedzeniu, zapadłem w błogi półsen przynoszący wreszcie ukojenie skołatany nerwom. Szofer nie tylko usunął usterkę (okazuje się, że było to zapowietrzenie przewodów benzynowych), lecz oczyścił również przednie siedzenie, zabrudzoną przeze mnie kierownicę oraz tablicę rozdzielczą. Ze łzami wdzięczności uściśnałem mu rękę i zapłaciłem, ile mogłem. Był zadowolony. Ten poczciwy prostak (imienia jego nie zdołałem sobie przypomnieć) okazał się ponadto bardzo rozmowny w przeciwieństwie do większości farmerów, ludzi tak samo poczciwych i prostych, ale ponurych i zamkniętych w sobie. Wyjaśnił mi wiele rzeczy dotyczących aktualnej sytuacji. Otóż powstańcy, których lud po prostu nazywał bandytami, pojawili się tu w okolicy już na drugi dzień po przybyciu Marsjan. Początkowo byli z farmerami na przyjaznej stopie i wtedy wyszło na jaw, że są to przeważnie mieszkańcy Maraten, ludzie z reguły wykształceni i na pierwszy rzut oka nieszkodliwi, jeśli nie liczyć wojskowych. Zamiary ich stały jednak dla farmerów niezrozumiałe. Najpierw wzywali chłopów do powstania przeciwko nowej władzy, lecz konieczność tę tłumaczyli nad wyraz mętnie — ciągle powtarzali o zagładzie kultury, o degeneracji i innych dziwnych sprawach, niewiele mających wspólnego z interesami mieszkańców wsi. Mimo to farmerzy żywili ich i udzielali noclegu, ponieważ sytuacja była niejasna i nie wiedziano jeszcze, czego można się od nowych rządów spodziewać. Kiedy jednak okazało się, że nowe władze nic innego oprócz dobra nie czynią, kiedy dając przyzwoitą cenę zakupiły na pniu plony (nawet nie plony, lecz ruń), kiedy wypłaciły hojną zaliczkę na przyszłe zbiory niebieskich zbóż, kiedy pieniądze zaczęły spadać jak z nieba za bezużyteczne dotychczas soki żołądkowe, a z drugiej strony odkryto, że bandyci urządzają zasadzki na przedstawicieli administracji wiozących na wieś pieniądze, przy czym pełnomocnik z Maraten dał do zrozumienia, że temu awanturnictwu trzeba dla wspólnego dobra jak najrychlej położyć kres, stosunek do powstańców zmienił się radykalnie.

Kilka razy przerywaliśmy naszą pogawędkę nasłuchując uważnie. Z pół dobiegały co pewien czas odgłosy strzałów, kiwaliśmy wtedy z zadowoleniem głową mrugając do siebie porozumiewawczo. Czuję się już zupełnie dobrze i siadłem za kierownicą, by zawrócić w kierunku domu (ani mi się śniło kontynuować podróż do Maraten, skoro na drogach dzieją się takie rzeczy, Bóg z tym Alkimem), gdy obława powróciła na szosę. Najpierw czterech farmerów przytaszczyło do ciężarówki dwa nieruchome ciała. W jednym z zabitych rozpoznałem mężczyznę

w berecie, którego oficer mienił inżynierem. Drugi, młodzutki chłopiec, był mi nie znany. Spostrzegłem z niejaką ulgą, że na szczęście daje oznaki życia, jest tylko ciężko ranny. Potem całą hurmą, rozmawiając wesoło, powróciła reszta uczestników wyprawy. Przyprawdzili jeńca ze związanymi rękami, którego również poznałem, mimo że teraz był bez okularów. Zwycięstwo było całkowite, żaden z farmerów nie poniósł szkody. Doznałem dużej satysfakcji moralnej widząc, jak ci prości ludzie, jeszcze przecież rozognieni walką, wykazują tym bardziej niewątpliwe szlachectwo ducha, zachowując się wobec pokonanego przeciwnika nieomal po rycersku. Rannemu opatrzyli rany i doić troskliwie ułożyli go w ciężarówce. Jeńcowi wprawdzie nie rozwiązali rąk, ale dali mu pić i wsadzili do ust papierosa. „No i sprawa skończona — rzekł mój przyjaciel szofer. — Teraz będzie spokojniej w naszej okolicy”. Czułem się w obowiązku poinformować go, że powstańców było co najmniej pięciu. „Nie szkodzi — odparł. — Dwóch musiało zwać. Ale nigdzie się nie ukryją. U nas czy w sąsiedniej okolicy jednakowe porządki. Wybiją ich albo wyłapią”. — „A z tymi co zrobicie?” — spytałem. — „Odwieziemy ich. O czterdzieści kilometrów stąd jest posterunek marsjański. Tam ich wszystkich przyjmują, żywych i martwych, jakich się dostarczy”. Jeszcze raz podziękowałem mu, uścisnęliśmy sobie ręce i poszedł do swej ciężarówki mówiąc do towarzyszy: „No, jedziemy chyba, tak?” Przeprowadzono obok mnie jeńca. Przystanął na sekundę i spojrzał mi prosto w twarz swymi oczami krótkowidza. Może zresztą tylko mi się zdawało. Mam nadzieję, że mi się zdawało. Ale w jego oczach było coś takiego, że serce stanęło mi w piersi. Okropny jest ten świat! Nie zamierzam, oczywiście, usprawiedliwiać tego człowieka. To ekstremista, partyzant, zabijał, więc powinien być ukarany, ale ja przecież nie jestem ślepy. Widziałem wyraźnie, że jest to człowiek szlachetny. Nie jakiś prostak, ignorant, lecz ktoś mający własne przekonania. A zresztą, miejmy nadzieję, że się mylę. Całe życie cierpię przez to, że sędzę ludzi zbyt dobrze.

Ciężarówka odjechała w jedną stronę, ja w drugą, i po upływie godziny byłem już w domu kompletnie rozbity, wyczerpany i chory. Na marginesie dodam, że w salonie siedział pan Nikostrates i Artemida przyjmowała go herbatą. Hermiona natychmiast zaczęła się krzątać koło mnie, rozesłała łóżko, położyła mi łód na serce i wkrótce zasnąłem, w nocy jednak obudziła mnie znów egzema. Była to męcząca, koszmarna noc.

Temperatura plus siedemnaście, zachmurzenie duże, ulewne deszcze.

Tak, tak, to są buntownicy, ludzie szkodliwi, burzyciele spokoju. A przecież nie mogę się obronić przed współczuciem dla nich — przemokniętych, brudnych, zaszczutych niczym dzikie zwierzęta. I w imię czego? Co to jest anarchizm? Protest przeciwko niesprawiedliwości? Ale jakiej niesprawiedliwości? Zupełnie ich nie pojmuję, Dziwne, dopiero teraz przypominam sobie, że podczas obławy nie było słychać serii z automatów ani huku granatów. Widocznie skończyła się im amunicja.

## 11 CZERWCA

Hermiona chciała, bym cały dzień spędziłem w łóżku, atę jej nie posłuchałem i zrobiłem słusznie. W południe po—czułem się na tyle dobrze, że zaraz po obiedzie postanowiłem wyjść do miasta. Człowiek jest słabym stworzeniem. Nie ukrywam, że pilno mi było opowiedzieć naszym o strasznych, tragicznych wypadkach, które miałem nieszczęście oglądać wczoraj na własne oczy. Co prawda już przed obiadem wypadki te rysowały mi się nie tyle w tragicznym, ile w romantycznym świetle. Moja opowieść odniosła na „spłachetku” ogromny sukces, zasypano mnie pytaniami, tym samym więc moja malutka próżność została w pełni usatysfakcjonowana.

Śmieszny ten Polifem (nota bene, jest on obecnie jedynym członkiem drużyny antymarsjańskiej, noszącym stale przy sobie strzelbę). Gdy powtarzałem naszym swoją rozmowę z oficerem buntowników, od razu wbił się w pychę uważając, że jest człowiekiem mającym wiele wspólnego z desperacką i niebezpieczną działalnością powstańców. Posunął się nawet do tego, że uznał ich za ludzi mężnych, aczkolwiek postępujących niezgodnie z prawem. Co chciał przez to powiedzieć, nie mam pojęcia i inni chyba też nie wiedzieli. Dodał jeszcze, że na miejscu powstańców pokazałby „temu chłopstwu”, skąd kozy gnano, i wtedy omal nie wywiązała się bójka, gdyż brat Myrtilosa jest farmerem i on sam też pochodzi z rodziny farmerskiej. Nie lubię awantur, nie cierpię wprost, toteż gdy inni rozdzielali skaczących sobie do oczu, poszedłem do merostwa.

Pan Nikostrates był dla mnie nad wyraz uprzejmy, interesował się zyczliwie moim zdrowiem i z wielkim współczuciem wysłuchał opowiadania o wczorajszej przygodzie. Nie tylko on zresztą — wszyscy urzędnicy przerwali załatwianie spraw i otoczyli mnie kołem, a więc i tu sukces był całkowity. Stwierdzili zgodnie, że wykazałem wielką odwagę i moje zachowanie przynosi mi zaszczyt. Musiałem uścisnąć mnóstwo rąk, a śliczniutka Tiona spytała nawet, czy pozwolę się ucałować, którego to pozwolenia udzieliłem z najwyższą przyjemnością. (Niech to diabli porwą, dawno mnie już nie całowały młodziutkie dziewczyny, zapomniałem nawet, jak smakuje). Co się tyczy renty, pan Nikostrates zapewnił mnie, że wszystko jest na dobrej drodze, dodał ponadto w wielkim sekrecie, że sprawa podatków została definitywnie załatwiona — od lipca będą pobierane w postaci soków, żołądkowych.

Naszą pasjonującą rozmowę przerwała niestety nagła awantura. Drzwi do gabinetu pana mera otworzyły się gwałtownie, na progu ukazał się pan Korybantes i odwrócony do nas tyłem krzyczał na pana mera, że on tego tak nie zostawi, to jest naruszenie wolności słowa, korupcja, niech pan mer nie zapomina o smutnym losie pana Laomedonta itd. itd. Pan mer również mówił podniesionym tonem, ale trochę ciszej, więc nie rozróżniałem jego słów. Wreszcie pan Korybantes wybiegł trzasnąwszy z hukiem drzwiami i wówczas pan Nikostrates wyjaśnił mi, o co poszło. Otóż pan mer ukarał grzywną i zamknął na tydzień naszą gazetę za to, że w przedwczorajszym numerze ukazał się wiersz podpisany przez niejakiego „Iks-Igrek-Zet”, a zawierający taki oto wers: „A na dalekim horyzoncie okrutny Mars pożarem płonie”. Pan Korybantes nie chce uznać decyzji mera i już drugi dzień kłóca się o to przez telefon i osobiście. Rozważywszy cały konflikt, doszliśmy z panem Nikostratesem do zgodnego wniosku, że obie strony mają tu swoje racje i równocześnie ich nie mają. Kara, jaką pan mer wymierzył gazetce, jest stanowczo zbyt surowa, zwłaszcza że utwór w całości jest najzupełniej niewinny, autor mówi w nim tylko o nie odwzajemnionej miłości do wieszczki nocy. Z drugiej jednak strony w obecnej sytuacji lepiej nie drażnić byka, panu merowi i tak nie brakuje zmartwień, choćby z tym Minotaurem, który przedwczoraj znów spił się jak bela i swoją śmierdzącą cysterną uszkodził pojazd marsjański. Wróciłem na „spłachetek” przyłączając się znów do naszych. Kłótnia między Polifemem a Myrtilosem była już załagodzona i rozmowa toczyła się w normalnej atmosferze. Zauważyłem nie bez satysfakcji, że moja opowieść zwróciła myśli zebranych w ściśle określonym kierunku. Rozmawiano o powstańcach, o środkach bojowych, jakimi dysponują Marsjanie, i innych podobnych sprawach.

Morfeusz opowiadał, że ponoć niedaleko Milesu lądował przymusowo latający pojazd marsjański, ponieważ pilot nie był przystosowany do zwiększonej siły przyciągania. Gdy po lądowaniu napadła na niego grupa złoczyńców, wystrzelał wszystkich co do nogi specjalnymi pociskami elektrycznymi, a następnie pojazd eksplodował, zostawiając po sobie ogromny lej ze szklanymi ściankami. Podobno cały Miles chodzi teraz oglądać ten lej.

Myrtilos z kolei słyszał od swego brata farmera o straszliwej bandzie Amazonek, atakujących i porywających Marsjan, aby mieć z nimi potomstwo. Jednonogi Polifem opowiedział zaś następującą historię: Wczorajszej nocy, gdy pełnił służbę patrolową na ulicy Parkowej, podkradły



się do niego bezszelestnie cztery pojazdy marsjańskie. Nieznajomy głos, nieprzyjemnie sycząc, zapytał łamanym językiem, jak dojechać do gospody. Jakkolwiek gospoda nie jest obiektem państwowym, Polifem kierując się dumą i pogardą dla zaborców odmówił odpowiedzi i Marsjanie odjechali z kwitkiem. Upewniał nas, że jego życie wisiało wtedy na włosku, i ponoć spostrzegł nawet długie czarne lufy wycelowane prosto w niego, mimo to ani na sekundę nie zachwiał się w swojej decyzji.

„A może ci żal było powiedzieć? — spytał zgryźliwie Myrtilos, nie zapomniawszy jeszcze zniewagi wyrządzonej jego rodzinie. — Znam ja takich drani. Przyjeżdża człowiek do nieznajomej miejscowości, chce coś wypić, a tu za żadne skarby nie powiedzą, gdzie knajpa”.

Omiał znów — nie doszło do bójki, na szczęście akurat nadszedł Pandareos i radośnie uśmiechnięty oznajmił, że Minotaura wreszcie zabrali z naszego miasta. Marsjanie. Podejrzewają go o kontakty z terrorystami i o sabotaż. Ogromnie nas wzburzyła ta wiadomość. W najgorętszej porze roku pozbawiać miasto prewetnika — ależ to po prostu zbrodnia!

„Dosyc! — wrzeszczał jedenonogi Polifem. — Nie ścierpimy dłużej tego przekłętogo jarzma! Patrioci! Na moją komendę — w dwuszeregu zbiórka!” Zaczęliśmy już ustawiać się w szyku, ale Pandareos uspokoił nas mówiąc, że Marsjanie w najbliższym tygodniu zamierzają przystąpić do robót kanalizacyjnych, a Minotaura zastąpi na razie podoficer policji. Skoro tak, to inna sprawa — orzekli wszyscy i powrócili do rozmowy o terrorystach. Doszli między innymi do wniosku, że urządzanie zasadzek to jednak świństwo.

Dimantes, przewracając oczami, opowiedział rzecz niesamowitą. Podobno od trzech dni chodzą po mieście jacyś ludzie i częstują przechodniów cukierkami. „Zjesz taki cukierek — i fajt! — jesteś gotów!” Mają nadzieję wytruć w ten sposób wszystkich Marsjan. Nikt, naturalnie, w tę historię nie uwierzył, mimo to ogarnęło nas jakieś nieprzyjemne uczucie.

Tu Kalaides, który już od dawna podrygiwał pryskając śliną, wykrztusił: „A p—przecież z—zięć Appolla też j—jest t—terrorystą”. Wszyscy odruchowo odsunęli się ode mnie, zaś Pandareos wysunąwszy naprzód szczękę oświadczył ważnym tonem; „To prawda. My również mamy takie informacje”.

Zdenerwowany, do najwyższych granic, wyłożyłem im wszystko po kolei. Po pierwsze, teść nie ponosi odpowiedzialności za zięcia, po drugie — jeśli już o tym mowa — to w zeszłym roku siostrzeńca Pandareosa też zamknięto na pięć lat za czyny rozpustne, po trzecie, ja z Charonem zawsze byłem na noże, co każdy może potwierdzić, i wreszcie po czwarte, nic w tym względzie o Charonie nie wiem — wyjechał służbowo i ani widu, ani słyhu o nim. Przeżyłem bardzo przykre chwile, jednakże bezsens oskarżenia był tak oczywisty, że wszystko skończyło się dobrze i rozmowa przeszła na soki żołądkowe.

Okazało się, że nasi już od dwóch dni oddają soki i otrzymują za nie gotówkę. Tylko ja zostałem na uboczu. Zawsze jakimś niepojętym sposobem znajduję się na uboczu tego, co jest dla mnie korzystne. Bywają tacy nie przystosowani ludzie w koszarach wiecznie sprzątają ustępy, na froncie wpadają w „kotły”, ich pierwszych spotykają wszelkie przykrości, a wszelkie dobro na ostatku. Ja do takich właśnie należę. No trudno. Nasi prześcigali się w pochwałach, jacy to oni teraz zadowoleni, ja myślę!

Na placu ukazał się pojazd marsjański i Polifem patrząc na niego w zamyśleniu powiedział: „Jak sądzicie, gdybym tak rąbnął do niego ze strzelby — przebije czy nie?” — „Kulą to może i przebije” — rzekł Sylen. — „Zależy, gdzie trafi — odparł Myrtilos. — Jeżeli w maskę albo z tyłu, to mowy nie ma”. — „A jeśli w boczną ścianę?” — spytał Polifem. — „Boczną chyba przebije” — odpowiedział Myrtilos. Chciałem już wtrącić, że nawet granat go nie ruszy, ale uprzedził mnie Pandareos oświadczając autorytatywnym tonem: „Niepotrzebnie się spieracie, moi kochani. Oni są nie do przebicia”. — „I z boku też?” — spytał uszczypliwie Morfeusz. — „Ze wszystkich stron”.

— Nawet kulą?” — dodał Myrtilos. — „Z armaty też możesz do nich strzelać” — rzekł Pandareos z niesłychaną, powagą. Tu już wszyscy zaczęli kiwać głowami i poklepywać go po plecach. „No, no, Pandor, chyba coś ci się pokiełbasiło. Nie pomyślałeś dobrze i palnąłeś byle co”. A zgryźliwy Paraleś nie omieszkął wsadzić Pandareosowi szpilki twierdząc, że jakby mu strzelić z armaty w rufę, to może zostałoby wgniecenie, ale w czoło — to zwyczajnie odskoczy i koniec. Pandareos okropnie się nabzdyczył, zapiał mundur na wszystkie guziki i wybałuszając swoje krabie oczy, wrzasnął: „Dość gadania! R—rozejść się! W imieniu prawa!”

Nie tracąc czasu udałem się do punktu sokodawstwa. Oczywiście i tu mnie spotkało niepowodzenie. Żadnych soków mi nie pobrano i żadnych pieniędzy nie otrzymałem. Zgodnie z ich przepisami soki należy oddawać wyłącznie na czczo, a ja przed dwiema godzinami zjadłem właśnie obiad. Wydali mi legitymację sokodawcy i poprosili, żebym przyszedł nazajutrz z rana. Trzeba zresztą przyznać, że punkt wywarł na mnie jak najkorzystniejsze wrażenie. Wyposażony bardzo nowocześnie. Sondę smaruje się najlepszymi gatunkami wazeliny. Pobieranie soków żołądkowych odbywa się automatycznie, ale pod obserwacją doświadczonego lekarza, nie jakiegoś draba. Personel wyjątkowo uprzejmy i miły, od razu widać, że im nieźle płacą. Wszędzie czyściutko, aż błyszczy, meble nowe. Czekać w kolejce można oglądać telewizję lub czytać najświeższą prasę. Jakaż to zresztą kolejka! Wszystko trwa znacznie krócej i szybciej niż w gospodzie. A pieniądze dostaje się od razu, prosto z automatu. Tak, tak, we wszystkim czuje się wysoką kulturę, humanistyczne podejście, troskę o sokodawcę. Kto by pomyślał, że jeszcze przed trzema dniami ten dom był jaskinią takiego człowieka, jak pan Laomedontos.

Myśl o zięciu nie opuszczała mnie jednak ani na chwilę, musiałem koniecznie porozmawiać z Achillesem o tej nowej przykrej sprawie. Zastałem go, jak zwykle, przy kasie, oglądającego swój „Kosmos”. Opowiadanie o moich przygodach wywarło na nim ogromne wrażenie, czułem, że patrzy na mnie teraz zupełnie innymi oczami. Ale gdy rozmowa zesła na Charona, wzruszył ramionami i powiedział, że cała moja postawa oraz niebezpieczeństwa, na jakie byłem narażony, rehabilitują w pełni nie tylko mnie, ale może nawet i Charona. Wątpił, co prawda, aby Charon był w ogóle zdolny uczestniczyć w jakichś karygodnych przedsięwzięciach. Najpewniej — oświadczył — siedzi teraz w Maratenach i bierze czynny udział w przywracaniu ładu, starając się zyskać przy okazji jakieś korzyści dla rodzinnego miasta, jak przystało każdemu solidnemu obywatelowi, a tymczasem tutejsi zawistnicy w rodzaju Pandareosa i Kalaidesa, którzy potrafią tylko nieodpowiedzialnie strześcić jęzory, po prostu psy na nim wieszają.

Miałem pod tym względem pewne wątpliwości, ale oczywiście zachowałem je dla siebie, dziwiąc się tylko w duchu, jak dalece my, mieszkańcy małego w gruncie rzeczy miasteczka, nie znamy się nawzajem. Zorientowałem się, że niepotrzebnie poruszyłem ten temat i udając, że wywody Achillesa w zupełności trafiły mi do przekonania, skierowałem rozmowę na znaczki. I wtedy właśnie zdarzył się ten przedziwny wypadek.

Pamiętam, że początkowo mówiłem trochę nienaturalnie, gdyż przede wszystkim chciałem odwrócić uwagę Achillesa od Charona. Tak się jednak złożyło, że zesłiliśmy na ten sakramentalny odwrócony nadruk. W swoim czasie przedstawiłem Achillesowi niepodważalne dowody, iż jest to falsyfikat, i zdawało się, że sprawa została wyczerpana. Tymczasem wczoraj przeczytał jakąś książczynę i uroił sobie, że stać go już na wygłaszanie własnych sądów. W stosunkach między nami to rzecz niebywała. Diabli mnie wzięli, straciłem panowanie nad sobą i wygarnąłem mu wprost, że nie ma zielonego pojęcia o filatelistyce, że jeszcze rok temu nie widział różnicy między hawidem a klaserem, w jego zbiorach aż się roi od kancer, to chyba o czymś świadczy. Achilles też się uniósł i wybuchła zażarta kłótnia, do jakiej jestem zdolny tylko z nim i tylko z powodu znaczków.

Jak przez mgłę dotarło do mej świadomości, że w trakcie tej kłótni ktoś wszedł do apteki, podał przez moje ramię jakąś kartkę i Achilles zamilkł na chwilę, co niezwłocznie wykorzystałem, by wdrzeć się klinem w jego mętne wywody. Pamiętam jeszcze przykre uczucie jakiejś przeszkody, coś z zewnątrz natrętnie mąciło moją świadomość nie pozwalając logicznie rozumować. Później to jednak minęło i kolejna faza tego niesłychanie ciekawego psychologicznie zjawiska nastąpiła w momencie, gdy kłótnia się skończyła i umilkliśmy obaj wyczerpani i trochę na siebie obrażeni.

Właśnie w owym momencie, wiedziony jakimś niejasnym nakazem, rozejrzałem się po lokalu, dziwiąc się podświadomie, że nie odkrywam żadnych zmian. Równocześnie zdawałem sobie wyraźnie sprawę, że jakaś zmiana musiała w czasie naszej kłótni nastąpić. Zauważyłem, że i Achillesa trawi pewien niepokój. On również szukał czegoś wzrokiem, potem przeszedł się wzdłuż lady i zajrzał pod nią. Wreszcie zapytał: „Powiedz mi, Febie, czy nikt tu nie przychodził?” Najwidoczniej dręczyło go to samo, co mnie. Pytanie to jakby postawiło kropkę nad „i”, uprzytomniłem sobie przyczynę mojej rozterki.

„Niebieska ręka!” — wykrzyknąłem olśniony nagłym wyrazistym wspomnieniem. Jak na jawie ujrzałem przed oczami niebieskie palce trzymające kartkę papieru. „Nie, nie ręka! — zaprotestował Achilles. — Macki! Jak u ośmiornicy!” — „Ależ ja wyraźnie pamiętam palce...” — „Macki jak u ośmiornicy — powtórzył Achilles oglądając się niespokojnie. Chwycił z lady książkę recept i zaczął ją spieszenie przerzucać. Wstrzymałem oddech w dręczącym przecuciu. Trzymając w ręku kartkę podniósł na mnie z wolna otwarte szeroko oczy, a ja już wiedziałem, co mi powie.

„Febie — wymówił zduszonym głosem. — To był Marsjanin”. Znajdowaliśmy się w takim stanie ducha, że Achilles jako człowiek związany z medycyną uznał za konieczne zaaplikować mnie i sobie coś wzmacniającego. Sięgnął do dużego kartonu z napisem „Norsulfazolom” i wyjął zeń butelkę koniaku. Tak, gdyśmy tu kłócili się o ten nieszczęsny nadruk, do apteki wszedł Marsjanin, podał Achillesowi pismo zlecające przekazanie okazicielowi wszystkich preparatów zawierających narkotyki. Achilles całkiem podświadomie wręczył mu przygotowaną paczkę, po czym Marsjanin oddalił się pozostawiając w naszej pamięci jedynie fragmenty wspomnień i migawkowy obraz utrwalony kątem oka.

Co do mnie, to pamiętałem dokładnie niebieską rękę, pokrytą krótkimi, rzadkimi włosami oraz mięsiste palce bez paznokci i nie mogłem wyjść ze zdumienia, że podobny widok nie sparaliżował mi wtedy języka w ustach.

Achilles nie pamiętał ręki, lecz długie, pulsujące macki, które wyciągnęły się do niego jak gdyby z pustki. Przypominał sobie również, że widok tych macek sprawił go w silne rozdrażnienie, ponieważ wydały mu się jakimś idiotycznym żartem. Pamiętał jeszcze, że nie patrząc rzucił ze złością na ladę paczkę z lekami, natomiast absolutnie nie przypominał sobie, by czytał nakaz i kładł go do książki rejestracyjnej, choć musiał czytać (skoro wydał lekarstwa) i musiał, włożyć (skoro nakaz tam się znajdował).

Wypiliśmy jeszcze po jednym koniaku i Achilles powiedział, że Marsjanin stał po mojej lewej ręce i że miał na sobie modny ażurowy pulower, mnie zaś stanął nagle w oczach niebieski palec, a na nim wspaniały pierścień z białego metalu z oprawnym węń drogim kamieniem. I przypomniałem sobie warkot samochodu. Achilles pocierając czoło mówił, że widok nakazu kojarzy mu się z uczuciem niechęci, jaką budziły w nim czyjeś wręcz nieprzyzwoite nachalne próby wtrącania się do naszego sporu z własnym absurdalnym poglądem na filatelistykę w ogóle i na sprawę odwróconych nadruków w szczególności.

Wówczas i ja uprzytomniłem sobie, że Marsjanin rzeczywiście coś mówił i że głos miał ostry i nieprzyjemny dla ucha. „Raczej niski i stonowany” — sprzeciwił się Achilles. Upierałem się jednak przy swoim, więc Achilles znów się uniół i przywołał z laboratorium swego prowizora pytając go, jakie dźwięki słyszał w ciągu ostatniej godziny. Prowizor, prawie zupełnie jeszcze

smarkacz, wymamrotał mrugając krowimi oczami, że przez cały czas słyszał nasze głosy, raz tylko zdawało mu się, że gdzieś włączono radio, ale nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Odesłaliśmy go i wypiliśmy jeszcze po kropelce koniaku. Pamięć nasza rozjaśniła się do reszty i choć nadal różniliśmy się w ocenie powierzchowności Marsjanina, to jednak przy rekonstruowaniu kolejności faktów byliśmy absolutnie zgodni. Marsjanin bez wątpienia przyjechał samochodem, zostawiwszy silnik na chodzie wszedł do apteki, zatrzymał się po mojej lewej stronie nieco z tyłu, przyglądając się nam przez pewien czas i słuchając naszej rozmowy. (Ciarki mnie przeszły, gdy uprzytomniłem sobie moją całkowitą bezbronność w owej strasznej chwili). Potem wtrącił kilka uwag dotyczących zapewne filatelistyki i zapewne absolutnie niekompetentnych, a następnie podał nakaz, który Achilles wziął i rzuciwszy nań okiem, włożył do książki rejestracyjnej. Dalej, wciąż jeszcze wytrącony z równowagi, wydał paczkę z lekami i Marsjanin odszedł zrozumiałwszy, iż nie życzymy sobie jego udziału w naszej rozmowie. Tak oto, abstrahując od szczegółów, powstał obraz istoty wprawdzie słabo orientującej się w zagadnieniach filatelistyki, na ogół jednak nie pozbawionej dobrych manier oraz pewnej dozy humanitaryzmu, jeśli wziąć pod uwagę, że mogła wtedy zrobić z nami, co jej się żywnie podobało. Wypiliśmy jeszcze po kieliszku i doszliśmy do wniosku, iż nie jesteśmy w stanie siedzieć tu dłużej i trzymać naszych w nieświadomości tego, co zaszło. Achilles schował butelkę, przekazał dyżur prowizorowi, po czym szybkim krokiem udaliśmy się do gospody.

Opowiadanie o wizycie Marsjanina spotkało się z różną reakcją ze strony naszych. Jednonogi Polifem otwarcie uważał ją za bujdę. „Powąchajcie, czym od nich jedzie —powiedział. — Nażłopali się aż do stadium niebieskich diabełków”. Rozsądny Sylen wysunął przypuszczenie, że to chyba nie był Marsjanin, raczej jakiś Murzyn, spotyka się niekiedy Murzynów z takim niebieskawym odcieniem skóry. No, a Parales pozostał sobą. „Ładnego mamy aptekarza — zauważył zgryźliwie. — Przychodzi nie wiadomo kto, nie wiadomo skąd, podsuwa mu nie wiadomo jaki papier, a on mu wydaje paczkę bez słowa. Z takimi aptekarzami nie zbudujemy rozumnego społeczeństwa, na pewno nie. Cóż to za aptekarz, który przez te swoje parszywe znaczki nie wie, co robi!” Reszta osób natomiast była po naszej stronie, wszyscy bywalcy gospody otoczyli nas kołem, nawet złota młodzież z panem Nikostratesem na czele oderwała się od baru, by nas posłuchać. Kazali nam w kółko powtarzać, gdzie stałem ja i gdzie stał Marsjanin, jak wyciągał swoją kończynę i tak dalej. Nader szybko spostrzegłem, że Achilles zaczyna ubarwiać swoją relację coraz to nowymi szczegółami, z reguły wstrząsającymi. (Na przykład: gdy Marsjanin milczał, świeciła tylko para oczu, tak jak u nas, a gdy otwierał usta, otwierały się jeszcze dodatkowe oczy, jedno czerwone, drugie białe). Nie omieszkałem zwrócić mu uwagi, odparł jednak, że koniak i brandy znakomicie rozjaśniają pamięć, to fakt stwierdzony przez medycynę. Dałem spokój dyskusjom, poprosiłem Japeta, by mi podał kolację, i uśmiechając się w duchu zacząłem obserwować, jak Achilles z całym przekonaniem kładzie się w oczach słuchaczy. Po dziesięciu mniej więcej minutach zrozumieli, że załgał się ostatecznie i przestali się nim interesować. Złota młodzież powróciła do baru i niebawem dobiegało stamtąd normalne: „Ależ u nas nudy... Życ się nie chce... Marsjanie? Bzdurą, głupi wymysł... Jaki by tu numer odstawić, panowie?” Przy naszym stoliku znów podjęto stary temat soków żołądkowych. Co to właściwie jest, do czego mają służyć Marsjanom i do czego służą nam. Achilles wyjaśnił, że soki żołądkowe potrzebne są człowiekowi do trawienia pokarmu, bez nich trawienie byłoby w ogóle niemożliwe. Jednakże autorytet jego był już podważony i nikt mu nie uwierzył. „Zamknij się, ty stary pierdoło — rzekł lekceważąco Polifem. — Jak to niemożliwe? Trzeci dzień oddaję te soki i trawię jak ta lala. Żebyś ty tak trawił”.

Z rozpaczy zwrócono się o radę do Kalaidesa, ale oczywiście skończyło się na niczym. Kalaides po długotrwałych drgawkach, które w męczącym oczekiwaniu śledziła cała gospoda, wykrztusił w

końcu: „T–trzydziestoletni ż–żandarm t–to już s–starzec, jeśli ch–chcesz w–wiedzieć”. Słowa te odnosiły się do jakiejś na wpół zapomnianej rozmowy, odbywającej się jeszcze przed południem na „spłachetku” i ‘w ogóle były przeznaczone nie dla nas, lecz dla Pandareosa, który już od świętej pamięci poszedł na dyżur. Daliśmy Kalaidesowi spokój, aby mógł rodzić odpowiedź na nasze pytanie, a sami zagłębiliśmy się w spekulacje. Sylen wyraził przypuszczenie, że cywilizacja Marsjan znalazła się w impasie pod względem fizjologicznym, nie są już w stanie produkować własnych soków, więc muszą zdobywać nowe źródła. Japet odezwał się zza bufetu, że Marsjanie używają soków żołądkowych jako fermentu przy wytwarzaniu specjalnej energii. „W rodzaju atomowej” — dodał po namyśle. A głupi Dimantes, który nigdy nie odznaczał się śmiałym polotem, oświadczył, że soki żołądkowe są dla Marsjan tym samym, czym dla nas koniak lub piwo, lub dajmy na to jałowcówka, i swoim stwierdzeniem popsuł apetyt wszystkim, którzy w danej chwili jedli. Ktoś wygłosił krańcowo ignorancką supozycję, że Marsjanie uzyskują z soków żołądkowych złoto czy inne rzadkie metale, niemniej nasunęła ona Morfeuszowi myśl bardzo słuszną. „Słuchajcie — powiedział — w gruncie rzeczy cokolwiek oni tam uzyskują, złoto czy energię, nie zmienia to faktu, że nasze soki żołądkowe są dla Marsjan czymś ogromnie ważnym. Czy oni nas przypadkiem nie okpili?” Początkowo nie zrozumieliśmy, o co mu idzie, dopiero później dotarło do nas, że przecież nikt nie zna właściwej ceny soków żołądkowych i jaką cenę wyznaczili Marsjanie — też nie wiadomo. Całkiem możliwe, że jako istoty — należy sądzić — praktyczne, czerpią z tego przedsięwzięcia niewspółmiernie wysokie zyski, kierując na naszej nieświadomości. „Skupują u nas za grosze — rozjuszył się jednonogi Polifem — a potem, ściierwa, pchają na jakąś kometę za ciężkie pieniądze!” Odważyłem się poprawić go, że jeśli już o tym mowa, to nie na kometę, lecz na planetę. Odpowiedział z właściwym mu grubiaństwem, że bym najpierw wyleczył oko, a dopiero potem wdawał się w rozmowy. Mniejsza z tym.

Słowa Morfeusza zasiały wśród nas niepokój i mogłaby wywiązać się bardzo istotna i pożyteczna dyskusja, lecz naraz do gospody wtoczył się Myrtilos ze swym bratem farmerem, obaj pijani w sztok. Dowiedzieliśmy się, że brat Myrtilosa już od kilku dni przeprowadzał próby pędzenia samogonu z niebieskiego zboża i dziś wreszcie próby te zostały uwieńczone sukcesem. Na stole wyrosły dwie solidne flachy niebieskiego płynu w najlepszym gatunku. Zaraz też wszystko inne poszło w ką, zaczęła się degustacja i przyznać trzeba, że ta „farbkówka” wywarła na nas spore wrażenie. Myrtilos na swoje nieszczęście zaprosił Japeta, by i on skosztował. Japet wypił dwie szklaneczki, przymknął lewe oko, jakby nad czymś medytując, po czym rzekł nagle: „Fora ze dwora, że bym was tu więcej nie widział!” Było to powiedziane takim tonem, że Myrtilos bez słowa zgarnął puste butelki praż swego drzemiącego braciszka i czym prędzej wyniósł się za drzwi. Japet zmierzył nas ponurym wzrokiem i rzuciwszy przez zęby: „Nowe zwyczaje — przychodzić do mego lokalu z własnym poidłem” — wrócił za bufet. Aby zatrzeć nietakt, zamówiliśmy wszyscy kolejkę, jednak poprzedni swobodny nastrój już się rozwiął. Posiedziałem jeszcze pół godzinki i udałem się do domu.

W salonie siedział w fotelu Charona naprzeciwko Artemidy pan Nikostrates i pił herbatę z konfiturą. Nie chcę się mieszać w tę sprawę. Po pierwsze, Charon pewnie już zaczął nowe życie i nie wiadomo, czy w ogóle wróci, a po drugie, gdzieś w pobliżu znajdowała się Hermiona, ode mnie zaś tak jechało wódą, że nawet sam to czułem. Toteż wolałem przemknąć się cichaczem do swego pokoju nie zwracając niczyjej uwagi. Przebrałem się i zacząłem przeglądać gazety. Niestychane! Szesnaście kolumn i nic istotnego. Jakby się żuło watę. Opublikowano konferencję prasową prezydenta. Przeczytałem tekst dwukrotnie i nic z tego nie wiem — od początku do końca soki żołądkowe.

Pójdę zobaczyć, jak tam Hermiona.

## 12 CZERWCA

Temperatura plus dwadzieścia, słonecznie, bez wiatru. Po tej farbkówce mam ohydłą zgałę. Migrena się nasiliła, przez cały dzień siedziałem w domu. Na rynku spożywczym ukazała się nowość — niebieski chleb. Hermiona chwali, Artemidzie też smakuje, ja jednak jadłem bez apetytu. Chleb jak każdy inny, tyle że niebieski.

## 13 CZERWCA

Nareszcie ustaliła się chyba piękna letnia pogoda. Temperatura plus dwadzieścia dwa, zachmurzenie...

No, ładna historia! Nawet nie wiem, od czego zacząć. W sprawie renty w dalszym ciągu nic nowego, ale nie o to w tej chwili chodzi. Ledwie zasiadłem dziś do pisania, słyszę, że przed dom zajezdza samochód. Byłem pewny, że to Myrtilos przywiózł mi z farmy obiecaną ćwiartkę farbkówki, i wyjrzałem oknem. Akurat w samą porę. Najpierw zobaczyłem stojący pod latarnią nieznamy samochód, niezwykle elegancki, a następnie Charona zdążającego przez ogród energicznym krokiem prosto do ławeczki, na której z wieczora uwili sobie gniazdko Artemida z Nikostratesem. Nie zdążyłem okiem mrugnąć, gdy pan Nikostrates wyleciał jak z procy za parkan. Za nim śmignęły laska i kapelusz ciśnięte przez Charona z nadludzką wręcz siłą, pan Nikostrates jednak nie zatrzymał się, by je podnieść, tylko jeszcze szybciej wziął nogi za pas. W następnej kolejności Charon zajął się Artemidą. Nie widziałem dobrze, co się tam dzieje, ale mam wrażenie że Artemida najpierw próbowała zemdleć, dopiero gdy Charon wyciął jej solidny policzek, zrezygnowała z tego zamiaru i postanowiła zademonstrować swój nieprzeciętny charakter. Wydała długi, przenikliwy pisk i przejechała paznokciami po twarzy Charona. Powtarzam, że nie widziałem tego wszystkiego. Niemniej, kiedy po paru minutach zająłem do salonu, Charon niczym tygrys w klatce spacerował z kąta w kąt, a na jego nosie czerwieniła świeża krecha. Artemida ze skupieniem nakrywała do stołu, zauważyłem tylko, że twarz ma nieco asymetryczną. Nie cierpię scen „familijnych”, ściska mnie od nich w dołku, chciałbym uciec na koniec świata, nie widzieć nic i nie słyszeć. Tymczasem Charon spostrzegł mnie, zanim zdążyłem się cofnąć, i wbrew wszelkim oczekiwaniom przywitał tak życzliwie i ciepło, że czułem się w obowiązku wejść i nawiązać z nim rozmowę.

Byłem przede wszystkim mile zaskoczony tym, że wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. W niczym nie przypominał tamtego zarośniętego obszarpańca, który tydzień temu szczekał w tym samym pokoju bronią i kłął na czym świat stoi. Szczerze mówiąc, wyobrażałem sobie, że będzie jeszcze bardziej obdarty i brudny. A tu, o dziwo, siedział przede mną dawny Charon, porządnie uczesany, ogolony, ubrany elegancko i ze smakiem. Jedyne purpurowa krecha na nosie psuła nieco ogólne wrażenie, no i niezwykła smagłość twarzy świadczyła o tym, że ostatnimi czasy ten pracownik umysłowy musiał wiele przebywać na powietrzu.

Nadeszła Hermiona w papilotach i przeprosiwszy za swój wygląd, również zajęła miejsce przy stole. I oto siedzimy sobie jak za dawnych dobrych czasów we czwórkę niczym spójna kochająca się rodzina. Dopóki kobiety nie oddaliły się sprzątnąwszy ze stołu talerze, rozmowa toczyła się na tematy ogólne — o pogodzie, o zdrowiu, o tym, jak kto wygląda. Ale gdy zostaliśmy sami, Charon zapalił cygaro i rzekł spoglądając na mnie z dziwnym wyrazem: „No i cóż, ojcie, przegraliśmy naszą sprawę”. Wzruszyłam tylko ramionami, chociaż mnie ogromnie korciło, by mu

odpowiedzieć, że jeśli czyjaś sprawa została przegrana, to w każdym razie nie nasza. Wydaje mi się zresztą, że raczej nie oczekiwał odpowiedzi. W obecności kobiet panował nad sobą, dopiero teraz spostrzegłem, że znajduje—się w stanie niemal chorobliwego podniecenia, gdy człowiek ulega gwałtownym zmianom nastrojów, z nerwowego śmiechu łatwo wpada w nerwowy płacz, wszystko w nim kipi, odczuwa więc niezwalczoną potrzebę wyładowania się w słowach i mówi, mówi, mówi. I Charon mówił.

Przyszłość już dla ludzkości nie istnieje. Człowiek przestał być koroną stworzenia. Odtąd już zawsze i na wiek wieków będzie on zwykłym tworem natury jak drzewo lub koń i niczym ponadto. Kultura i w ogóle cały postęp straciły jakikolwiek sens. Ludzkość nie odczuwa już potrzeby samodzielnego rozwoju, będzie rozwijana z zewnątrz, wobec czego zbędne staną się szkoły, zbędne instytuty i pracownie, zbędna myśl społeczna, filozofia i literatura, słowem to wszystko, co odróżniało człowieka od bydła i co nazywało się dotychczas cywilizacją. Jako fabryka soków żołądkowych, ciągnął Charon, Albert Einstein bynajmniej nie jest kimś lepszym od Pandareosa, przeciwnie, nawet gorszym, gdyż Pandareos odznacza się nieprzeciętną żarłocznością. Nie w grzmotach katastrofy kosmicznej, nie w płomieniach wojny atomowej i nawet nie w kleszczach przeludnienia, lecz w sytej, niezmaconej ciszy kończy się historia ludzkości. „I pomyśleć tylko — wymówił z udręką — że nie rakiety balistyczne, lecz marna garść miedziaków za szklanek soków żołądkowych zgubiło cywilizację...”

Mówił, oczywiście, znacznie więcej i znacznie efektowniej, lecz ja słabo odbieram rozważania abstrakcyjne, więc zapamiętałem tylko tyle. Przyznaję, że początkowo udało mu się nastroić mnie melancholijnie. Dość szybko jednak zorientowałem się, że to po prostu historyczne wynurzenia inteligenta, który przeżył ruinę osobistych ideałów. I poczułem chęć protestu. Nie dlatego, oczywiście, bym się spodziewał przekonać go, iż nie ma racji, lecz dlatego, że jego wywody głęboko mnie dotknęły, wydały mi się napuszone i pozbawione skromności, poza tym chciałem otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie wywarły na mnie jego lamentacje.

„Miałeś zbyt łatwe życie, mój synu — rzekłem otwarcie. — Za dobrze ci było. Nie wiesz nic o życiu. Od razu widać, że nigdy nie dostawałeś w zęby, nie marłeś w okopach, nie ładowałeś belek w niewoli. Zawsze miałeś co jeść i czym płacić. No i przywykłeś patrzeć na świat oczami niebianina, jakiegoś nadczłowieka. Straszne rzeczy, sprzedali cywilizację za garść miedziaków! Podziękujcie, że wam za nią dają te miedziaki! Tobie, oczywiście, nie są one potrzebne. Ale wdowie, która została sama z trojgiem dzieci i musi je wyżywić, wykształcić? Ale Polifemowi, kalece otrzymującemu groszową rentę? Ale farmerowi? Cóż mu proponowaliście? Wątpliwe koncepcyjki społeczne? Broszurki? Waszą filozofię estetyczną? Ależ on miał to wszystko gdzieś! Potrzebne mu ubrania, maszyny i pewność jutra. Potrzebna mu możliwość stałego uzyskiwania dobrych zbiorów i dobrej ceny za nie. Mogliście mu to zapewnić? Wy razem z całą waszą cywilizacją? Nikt w ciągu dziesięciu tysięcy lat nie mógł Im tego dać, a Marsjanie dali! I czegoż się teraz dziwić, że farmerzy tropią was jak dzikie zwierzęta? Nikt was nie potrzebuje z tymi waszymi dyskusjami, waszym snobizmem, abstrakcyjnym moralizatorstwem, łatwo przechodzącym w serie karabinowe. Nie potrzebują was farmerzy ani mieszkańcy miast, ani Marsjanie, Jestem przekonany, że nawet większość rozumnych, inteligentnych ludzi. Uważacie się za kwiat cywilizacji, a w gruncie rzeczy jesteście pleśnią wyhodowaną na jej sokach. Uroiliście sobie Bóg wie co i teraz uważacie, że wasza zguba oznacza zgubę całej ludzkości”.

Odniosłem wrażenie, że moje słowa dobiły go ostatecznie. Siedział zasłoniwszy twarz rękami, trząsł się cały, wyglądał tak żałośnie, że serce mi się rozkrwawiło.

„Charonie — powiedziałem z wielką łagodnością — chłopcze mój! Postaraj się choćby na chwilę zejść z obłoków na tę grzeszną ziemię. Postaraj się zrozumieć, że najbardziej ze wszystkiego na świecie potrzebny jest człowiekowi spokój i pewność jutra. Przecież nie stało się

nic strasznego. Mówisz, że człowiek zamieni się teraz w fabrykę soków żołądkowych. To tylko czysty werbalizm, Charonie. W rzeczywistości zaszło coś wręcz przeciwnego. Człowiek w nowych warunkach egzystencji znalazł świetny sposób wykorzystania swych rezerw fizjologicznych, aby umocnić swoją sytuację w świecie. Nazywacie niewolnictwem coś, co każdy rozumny człowiek uważa za normalną transakcję handlową, która winna przynosić wzajemne korzyści. O jakim niewolnictwie może być mowa, skoro człowiek rozsądny już dziś oblicza, czy go przypadkiem nie oszukają i gdyby tak rzeczywiście było, potrafi, zapewniam cię, dobić się sprawiedliwości. Mówicie o zagładzie kultury i cywilizacji, a to już absolutna nieprawda! Nie rozumiem nawet, co macie na myśli. Wychodzi prasa codzienna, wychodzą nowe książki, powstają nowe spektakle telewizyjne, pracuje przemysł... Charonie I Czego wam jeszcze brakuje? Zostawili wam wszystko, co mieliście — wolność słowa, samorząd, konstytucję. Mało tego, uchronili was od pana Laomedonta! I wreszcie dali wam stałe i pewne źródło dochodów, całkowicie niezależne od jakiegokolwiek koniunktury”.

Tu zamilkłem spostrzegłszy, że Charon bynajmniej nie jest przybity i nie szlocha, jak mi się zdawało, lecz w najnieprzyzwoitszy sposób chichocze. Poczuję się niesłychanie dotknięty, lecz on natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem:

„Wybacz mi, proszę, nie chciałem cię obrazić. Po prostu przypomniła mi się pewna zabawna historia”. Okazało się, że dwa dni temu Charon na czele pięcioosobowej grupy powstańców przechwycił pojazd marsjański. Jakież było ich zdumienie, gdy wysiadł z niego trzeźwiuteńki Minotaur z przenośnym aparatem do pobierania soków żołądkowych. „No co, chłopaki, macie chęć na kielicha? — zapytał. — Dobra, zaraz wam to załatwię. Kto pierwszy?” Powstańcy kompletnie zbaranieli. Oprzytomniawszy nieco, dali mu solidnie po karku za zdradę, ale już bez najmniejszej satysfakcji, po czym puścili go wraz z samochodem. Mieli zamiar po zdobyciu samochodu zapoznać się z jego układem kierowniczym, następnie przedostać się na posterunek Marsjan i tam się z nimi rozprawić, ale wspomniany epizod tak na nich podziałał, że im zupełnie opadły ręce. Tegoż dnia wieczorem dwóch odeszło do domów, a pozostałych trzech schwytali nazajutrz farmerzy. Niezupełnie rozumiałem, jaki ta historia ma związek z naszą rozmową, ale uderzyło mnie jedno — więc Charon przebywał w niewoli u Marsjan!

„A tak — odpowiedział na moje pytanie. — Dlatego właśnie się śmiałem. Marsjanie mówili mi jota w jotę to samo, co ty. Trochę skład niej, co prawda. Szczególnie zaś podkreślali, że należę do elity społecznej, że żywią dla mnie głęboki szacunek i nie pojmują, dlaczego tacy ludzie jak ja dokonują aktów terrorystycznych, zamiast stworzyć rozsądną opozycję. Proponują, byśmy walczyli z nimi w sposób legalny, gwarantują nam przy tym całkowitą wolność słowa i zgromadzeń. Fantastyczne chłopcy ci Marsjanie, prawda?”

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Zwłaszcza gdy usłyszałem, że obchodzili się z nim wręcz nadzwyczajnie, umyli go, ubrali, podleczyli i wreszcie dali mu samochód, skonfiskowany jakiemuś właścicielowi palarni opium.

„Nie znajduję stów” — wymówiłem rozkładając ręce. „Ja też — rzekł Charon i twarz mu znów sposepniała. — Ja też, niestety, na razie nie znajduję stów, ale trzeba je znaleźć. Funta kłaków nie jesteśmy warci, jeśli ich nie znajdziemy”. Po czym ni stąd, ni zowąd życzył mi dobrej nocy i udał się do siebie, a ja zostałem jak idiota, pełen najgorszych przeczuc. Oj, będziemy jeszcze mieli kłopoty z Charonem! Oj tak, tak! I cóż to za okropny zwyczaj odchodzić w środku rozmowy? Już pierwsza w nocy, a mnie się nawet powieki nie kleją.

Aha, dziś po raz pierwszy oddawałem soki żołądkowe. Nic strasznego, trochę tylko nieprzyjemnie przetykać rurkę, ale podobno można się do tego szybko przyzwyczaić. Gdybym oddawał co dzień po dwieście gramów, otrzymałbym za to sto pięćdziesiąt miesięcznie. To już nieźle!



## 14 CZERWCA

Temperatura plus dwadzieścia dwa, pogoda słoneczna, bez wiatru. Wyszyły nareszcie nowe znaczki. Boże, istne чудо! Kupiłem wszystkie w czworoblokach, a potem nie wytrzymałem i kupiłem jeszcze całe arkusze. Dosyć tego oszczędzania. Teraz mogę sobie na tamto i owo pozwolić. Byliśmy oboje z Hermioną oddawać soki, w przyszłości będę chodził sam. Podobno z Ministerstwa Oświaty przyszedł okólnik zatwierdzający dawne przepisy o emeryturach, bliższych jednak szczegółów nie udało mi się dowiedzieć. Pan Nikostrates nie przyszedł do pracy — zawiadomił przez swego młodszego brata, że się przeziębił i ma grypę. Przebakują jednak, że to wcale nie grypa. Upadł tak fatalnie, że doznał obrażeń wewnętrznych. Ach, ten Charon, niech go nie znam! Artemida chodzi potulna jak trusia.

— Aha, zupełnie mi wyleciało z pamięci. Zajrzałem dziś do salonu i widzę, że siedzi Charon, a z nim jakiś sympatyczny pan w wielkich okularach. I naraz skamieniałem. Był to ów powstaniec, którego w moich oczach pojмали farmerzy. On też mnie poznał i też skamieniał. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, wreszcie ja pierwszy oprzytomniałem i skłoniwszy się, wyszedłem. Nie wiem, on on tam mówił o mnie Charonowi. Niebawem zresztą opuścił nasz dom. Stwierdzam otwarcie, że mi się to wszystko nie podoba. Jeżeli będą — jak mi proponowano — prowadzić legalną walkę za pomocą prasy, broszurek i różnych wieców, to nie mam nic przeciwko temu. Ale jeśli zobaczę choćby raz jeszcze w moim domu automaty i inne żelastwa, wtedy hola, przepraszam bardzo, kochany zięciu. Tu się nasze drogi rozejdą. Dość tego.

Aby się uspokoić, przeczytałem wczorajszy zapis rozmowy z Charonem. Wydaje mi się, że logika mego rozumowania jest bez zarzutu. Charon właściwie nie znalazł żadnych kontrargumentów. Szkoda tylko, że napisałem to znacznie składowiej i bardziej przekonująco, niż mówiłem. Mówić zupełnie nie umiem, to moja słaba strona.

Prasa poranna podaje interesującą wiadomość o powszechnej demobilizacji, jak również demilitaryzacji naszego kraju. Dzięki Bogu, nareszcie im to przyszło do głowy! Z tego by wynikało, że Marsjanie wzięli sprawę obrony całkowicie na siebie, nas nie będzie ona kosztować obecnie ani grosza, jeśli, rzecz jasna, nie liczyć soków żołądkowych. W przemówieniu prezydenta nie wspomina się o tym wyraźnie, ale można to wyczytać między wierszami. Sumy wydatkowane przedtem na obronę — powiedział prezydent — przeznaczy się na podniesienie dobrobytu oraz rozbudowę przemysłu stoczniowego, będą pewne trudności w związku z likwidacją przemysłu zbrojeniowego, ale to zjawisko czysto przejściowe. Podkreślił również kilkakrotnie, że nikt z powodu tej reorganizacji nie poniesie strat. Rozumiem to w ten sposób, że przemysłowcy od zbrojeń oraz generałowie otrzymają grubą forszę. Ci Marsjanie to bogaty naród! A demobilizacja już się rozpoczęła. Parałeś kolportuje wieści, że policja też ma być zlikwidowana. Pandareos chciał go zamknąć, ale nie pozwoliliśmy na to. Pogłoski mogą, oczywiście, nie mieć nic wspólnego z prawdą, niemniej ja na miejscu Pandareosa postępowałbym teraz nieco ostrożniej.

Nie mam dziś ochoty nic zapisywać. Wezmę lepiej moją wczorajszą przemowę do Charona i przepiszę ją na czysto. Świetna rzecz.

## 15 CZERWCA

Ranek wypadł nad podziw przejrzysty i pogodny. (Temperatura plus dwadzieścia jeden, słonecznie, bez wiatru). Cudownie jest wstać o wczesnej godzinie, kiedy słońce rozpędziło już mgły poranne, a powietrze jeszcze świeże, rześkie i pełne nocnych aromatów. Drobnutkie krople rosy niby drogocenne kamienie drżą i mienia się miliardami tęczy na każdym wiechietku trawy, każdym listeczku, każdej pajęczynce, którą skrzętny pajęczek rozsnuł przez noc od swego domku do chybotliwej gałązki. Nie, proza artystyczna nie wychodzi mi za dobrze. Z jednej strony niby wszystko prawidłowo, na swoim miejscu, ładnie–pięknie, a mimo to jakoś... nie wiem, coś nie tak. No trudno.

Drugi dzień z rzędu mamy wszyscy wyśmienity apetyt. Podobno tak działa ten niebieski chleb. Rzeczywiście to niezwykły produkt. Dawniej jadałem chleb wyłącznie w postaci kanapek i na ogół w małych ilościach, teraz dosłownie się nim objadam. Rozpływa się w ustach jak najlepsze ciasto i absolutnie nie obciąża żołądka. Nawet Artemida, która zawsze dbała o zachowanie linii w znacznie większym stopniu niż o zachowanie rodziny, nie może się teraz pohamować i je tyle, ile powinna jeść młoda, zdrowa kobieta w jej wieku. Charon również je i bardzo sobie chwali. Na moje nie pozbawione złośliwości aluzje odpowiada tylko: „Jedno drugiemu nie przeszkadza, ojcze. Jedno drugiemu nie przeszkadza”. Po śniadaniu wybrałem się do merostwa, ale trafiłem akurat na początek urzędowania. Naszych nie było jeszcze na „spłachetku”. Pan Nikostrates wygląda marnie. Przy każdym poruszeniu krzywi się, łapie się za bok i co trochę postępuje z cicha. Mówi zboliałym szeptem, na swoje paznokcie nie zwraca najmniejszej uwagi. W trakcie naszej rozmowy ani razu nie spojrzął na mnie, lecz zachowywał się bardzo uprzejmie, z kurtuazją i bez cienia zwykłej ironii. Istotnie, nadszedł już okólnik zatwierdzający poprzednią ustawę emerytalną. Moje papiery prawdopodobnie są już u ministra. Wszystko przemawia za tym, że sprawa zostanie załatwiona pomyślnie i otrzymam pierwszą kategorię, nie zaszkodziłoby jednak poprosić pana mera, by wystosował do ministra specjalne pismo poświadczające mój osobisty udział w walce zbrojnej z powstańcami. Bardzo mi odpowiadała ta myśl i umówiliśmy się z panem Nikostratesem, że napiszę projekt takiego doniesienia, on je odredaguje i przedłoży panu merowi do rozpatrzenia.

A tymczasem na „spłachetku” już zebrali się nasi. Morfeusz przyszedł trochę spóźniony, więc ukaraliśmy go grzywną. Trzeba skończyć z tym liberalizmem, w ostatnich czasach kompletnie zaniedbaliśmy sprawy klubowe. Wszystkich ogromnie nurtowało jedno pytanie — czy konflikt między Charonem a panem Nikostratesem jest już zakończony. Musiałem szczegółowo opisać im, co widziałem, następnie jednonogi Polifem i Sylen dłuższy czas dyskutowali o tym, jaka część osoby pana Nikostratesa mogła doznać obrażeń. Polifem jako człowiek bywały i w dodatku podoficer utrzymywał, że po tego rodzaju starciu pan sekretarz musi mieć uszkodzoną kość ogonową, gdyż tylko dobrze wymierzony kopniak czubkiem buta w odpowiednie miejsce mógł spowodować, że opuścił (on pole walki w opisanym przeze mnie stylu. Sylen natomiast, jako człowiek nie mniej bywały i poza tym prawnik upierał się, że identyczny skutek wywołuje także uderzenie w korpus, a sposób, w jaki pan Nikostrates obecnie się porusza świadczy niechybnie o tym, iż ma on uszkodzone lewe żebro, może jest to pęknięcie, może nawet złamanie. Poza tym obaj stwierdzili zgodnie, że do końca sprawy jeszcze daleko i że pan Nikostrates, młodzieniec zapalczywy i wysportowany, nie omieszka wraz z kompanią swych przyjaciół dopaść Charona w jakiejś ciemnej uliczce.

Nagabywano mnie również, czy Artemida nadal żywi skłonność do pana Nikostratesa, a gdy stanowczo odmówiłem odpowiedzi na to nietaktowne pytanie, zrozumieli to jednoznacznie, mianowicie, że nic się pod tym względem nie zmieniło. „Takie są kobiety — powiedział zgryźliwy Paraleś. — Zawsze im mało jednego mężczyzny, to już leży w ich biologii”. Szlag mnie trafił, odparłem, że ta cecha kobiet leży raczej w biologii niektórych mężczyzn w rodzaju Paralesa, co wszyscy uznali za celny dowcip, gdyż Paraleś z powodu swej zgryźliwości nie cieszy się zbyt

sympatią, a po wtóre przypomnieli sobie, że jeszcze przed wojną młoda żona uciekła od niego z komiwożerem. Nadarzyła się sprzyjająca okazja, by wreszcie usadzić Paralesa wiecznie wygłaszającego quasi-filozoficzne sentencje. Morfeusz, który właśnie wymyślił jakiś nowy dowcip, zaczął już z góry krztusząc się ze śmiechu chwytać nas za ręce i wołać: „Posłuchajcie, co wam powiem!”, gdy naraz, jak zawsze nie w porę, zwałił się ten stary osioł Pandareos i nie orientując się w przedmiocie naszej rozmowy oznajmił grzmiącym basem, że taka moda przyszła do nas z zagranicy — tam teraz żyją we trójkę albo w czwórkę, jedna kobieta i kilku mężczyzn, zupełnie jak koty. No i co z takim robić! Ręce opadają. Parates natychmiast uczepił się tych słów i skierował rozmowę na osobę Pandareosa. „No, no, Pan — powiedział. — Jesteś dziś w nadzwyczajnej formie, stary, czegoś takiego nie wymyśliłby nawet mój młodszy zięć major”. Ten drugi zięć Paralesa był znany daleko poza granicami naszego miasta, toteż żaden z nas już nie wytrzymał, zaczęliśmy tarzać się ze śmiechu, zwłaszcza że Parales dodał jeszcze z boleściwą miną: „Szkoda jednak, moi drodzy, że się demilitaryzujemy. Trzeba nam było raczej przeprowadzić depoliceizację lub w najgorszym razie depandareizację”. Pandareos z miejsca nadał się jak jeźoryb, zapiął mundur na wszystkie guziki i wrzasnął: „Dość gadania!...”

Na punkt sokodawstwa było jeszcze za wcześnie, poszedłem więc do Achillesa. Przeczytałem mu przepisaną na czysto moją przemowę do Charona. Słuchał z otwartymi ustami. Sukces był całkowity. Oto jego słowa, gdy skończyłem czytanie— „Ależ to pisał prawdziwy trybun, Febie! Skąd ci to przyszło do głowy?” Pocertowałem się trochę dla większego efektu, a później wyjaśniłem, jak to było. A on nie uwierzył! Powiedział, że to wykluczone, by emerytowany nauczyciel astronomii potrafił tak znakomicie sformułować myśli i nadzieje prostych ludzi. „To potrafią jedynie wielcy pisarze — mówił — lub wielcy działacze polityczni. A ja jakoś nie dostrzegam w naszym —kraju wielkich pisarzy ani wielkich polityków”.

„Febie, ukradłeś to Marsjanom — powiedział nagle. — Przyznaj się, stary, nikt się o tym nie dowie”. — Straciłem cały kontenans. Jego niedowierzenie pochlebiało mi i zarazem sprawiało przykrość— Na dobitkę pokazał mi zapieczętowaną kopertę z grubego czarnego papieru. „Co to jest?” — spytałem niby od niechcienia, ale moje serce wyczuło już klęskę i ścisnęło się boleśnie. „Znaczki — odpowiedział ten pyszałek. — Autentyczne. Stamtąd!” Nie wiem, jakim cudem zdołałem nad sobą zapanować. Jak przez watę w uszach słyszałem swoje zachwyty wygłaszane z udawaną życzliwością. A on wymachiwał mi przed nosem kopertą i opowiadał, jaka to rzadkość, jak nigdzie nie można ich zdobyć, jakie bająnskie sumy proponował mu za nie sam Chtoniusz i jak mądrze on, Achilles, postąpił żądając ekwiwalentu za skonfiskowane leki nie w pieniądzech, lecz w znaczkach. Sumy, jakie niedbałym tonem wymieniał, wpędziły mnie w zupełny popłoch. A więc ceny rynkowe znaczków marsjańskich są tak wysokie, że ani renta pierwszej kategorii, ani soki żołądkowe nie zdołają w niczym zmienić mojej sytuacji. Opanowałem się w końcu, coś mnie tknęło i poprosiłem Achillesa, by mi pokazał te znaczki. No i wtedy wszystko się wydało. Ten krętacz od razu spuścił z tonu, zmieszał się i zaczął coś mamrotać, że marsjańskie znaczki, podobnie jak papier fotograficzny, są bardzo czułe na światło i można je oglądać tylko przy specjalnym oświetleniu, a tu w aptece takich urządzeń nie ma. Podniesiony na duchu zapytałem, czy mogę wpaść do niego wieczorem do domu. Zaprosił mnie bez entuzjazmu tłumacząc się, że w domu też nie ma jeszcze takich urządzeń, postara się jednak na jutrzejszy wieczór coś wykombinować. O tak, w to wierzę. Z pewnością coś wykombinuje. Z pewnością okaże się, że te znaczki rozptywiają się w powietrzu, albo że w ogóle nie wolno na nie patrzeć, można tylko dotykać. W trakcie naszej rozmowy usłyszałem czyjś oddech nad moim lewym uchem i kątem oka spostrzegłem za sobą jakiś ruch. Mając świeżo w pamięci tamtą tajemniczą wizytę, odwróciłem się gwałtownie, była to jednak tylko pokojówka madame Persefony, która przyszła prosić o coś pewniejszego. Achilles oddalił się do laboratorium w poszukiwaniu preparatu, który by zadowolili

madame Persefonę, i widocznie postanowił nie wracać dopóty, dopóki ja nie wyjdę. Wyszedłem więc nie kryjąc ironii.

Na stacji sokodawstwa czekała mnie miła niespodzianka. Otóż odpowiednie analizy wykazały, że skutkiem schorzeń wewnętrznych, na jakie chronicznie cierpię, moje soki żołądkowe zostały zaliczone do pierwszego gatunku, wobec czego za sto gramów będą mi teraz wypłacać o czterdzieści procent więcej niż innym. Nie dość na tym, dyżurny felczer napomknął mi, że jeśli bym w umiarkowanych, lecz wystarczających ilościach pijał farbkówkę, moje soki mogą osiągnąć gatunek ekstra, a wówczas otrzymywałbym za sto gramów o siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent więcej. Poję się zapeszyć, ale chyba pierwszy raz w życiu miałem choć trochę szczęścia.

W promiennym nastroju udałem się do gospody i przesiedziałem tam do późnego wieczora. Było bardzo wesoło. Japet handluje teraz w najlepsze farbkówką, którą masowo dostarczają mu okoliczni farmerzy. Wprawdzie po farbkówce dostaje się zgagi, niemniej jest ona tania i lekko przechodzi przez gardło, wywołując w konsekwencji przyjemne, wesołe odurzenie. Ogromnie nas rozbawił jeden z tych młodych ludzi w wąskich paltach. Nigdy nie nauczę się ich rozróżniać, ponadto do dzisiejszego wieczora czułem do obydwóch całkiem naturalną niechęć, którą dzieliła ze mną większość naszych. Zazwyczaj ci groźni poskromiciele pana laomedonta spędzali w gospodzie — razem lub osobno — cały czas od obiadu do zamknięcia. Siedzieli przy bufecie i popijali zachowując uporczywe milczenie, jakby wokół nich nie było nikogo. Dziś jednak ów młody człowiek oderwał się nagle od bufetu, podszedł do naszego stolika i kiedy wszyscy umilkli spłoszeni, zamówił wśród głębokiej ciszy brandy dla całego towarzystwa. Następnie usiadł między Polifem a Sylenem i rzekł półgłosem: „Eak”. Myśleliśmy, że mu się odbiło, więc Polifem swoim zwyczajem powiedział: „Na zdrowie”. Tymczasem młody człowiek wyjaśnił lekko urażonym tonem, że Eak oznacza „jego imię, które otrzymał na cześć syna Zeusa i Eginę, ojca Telamona i Peleusa, dziada Eanta Wielkiego. Polifem natychmiast pospieszył z przeprosinami i zaproponował toast za zdrowie Eaka, tym samym więc incydent został wyczerpany. My również przedstawiliśmy się wszyscy i Eak bardzo szybko poczuł się w naszym gronie jak w domu. Okazał się świetnym gawędziarzem, po prostu zrywaliśmy boki słuchając jego opowieści.

Szczególnie podobało nam się historyjka, jak namydlali podłogę w salonie, rozbierali babki do naga i urządzali za nimi pogoń. Nazwali to „grą w berka”, Eak zaś opowiadał o tym w przezabawny sposób. Muszę przyznać, że było nam trochę wstyd za nasz partykularz, w którym o czymś podobnym nigdy nie słyszano, toteż bardzo w porę wypadła dowcipna eskapada naszych młodych szalapatów kompanii pana Nikostratesa.

Ukazali się na placu prowadząc na smyczy rudoczerwonego koguta. Boże, jakie to było śmieszne! Śpiewając piosenkę o królu Jobatesie przemaszerowali przez cały plac prosto do gospody. Tu obstarali bufet i zażądali dla siebie brandy, a dla koguta farbkówki. Obwieścili przy tym wszem wobec, że obchodzą uroczyste inicjację koguta i zapraszają wszystkich chętnych. Pękaliśmy ze śmiechu. Eak też śmiał się razem z nami, więc chyba nasze miasto dając dowód, iż stać je na równie finezyjne rozrywki, zrehabilitowało się w oczach tego mieszkańca stolicy.

Było jeszcze dość interesująco, gdy przyszedł Achilles z wiadomością, że z sali posiedzeń merostwa skradziono sześć półwyściełanych krzesel. Pandareos przeprowadził już śledztwo na miejscu przestępstwa i podobno trafił na ślad. Twierdzi, że złodziei było dwóch, przy czym jeden miał welurowy kapelusz, a drugi sześć palców u prawej nogi, na ogół jednak wszyscy są przekonani, że te krzesła ukraść skarbnik miejski. Zgryźliwy Parałes wyraził to prosto z mostu: „No proszę, znowu się wymigał. Teraz wszyscy będą gadać tylko o tych głupich krzesłach i zapomną na amen o ostatniej defraudacji”.

Po powrocie do domu nie zastałem Charona, siedział jeszcze w redakcji, zjedliśmy więc kolację we troje.

A oto teraz wyglądam przez okno. Cudowna letnia noc rozpostarła nad miastem bezdenne niebo usiane miliardami świetlistych gwiazd. Ciepły wietrzyk sączy czarodziejskie aromaty i pieści gałęzie śpiących' drzew. Cyt! — słycać cichutkie buczenie robaczka świętojańskiego, który zabłądził w trawie spiesząc na spotkanie ze swą szmaragdową bogdanką. Sen i szczęśliwość spłynęły na utrudzone dzienną krzątanią miasteczko. Ee, znów coś nie tak. No trudno. Chodziło mi o ten piękny widok, kiedy wysoko nad miastem przeszły bezszumnie jako symbol pokoju i bezpieczeństwa jaśniejące czarodziejskim blaskiem statki powietrzne, od razu widać, że nie nasze.

Swoją przemowę zatytułuję: „Spokój i pewność” i dam Charonowi do gazety. Niech tylko spróbuje nie wydrukować. Do czego to podobne, całe miasto za, a on jeden przeciw! Nic z tego, drogi zięciulku, nic z tego!

Pójdę zobaczyć, jak tam Hermiona.